

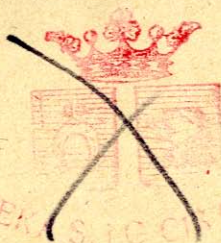
IREZYONA

TADEUSZ ZIELIŃSKI

IREZYONA

KLECHDY ATTYCKIE

SERJA DRUGA



WARSZAWA MCMXII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE



21455

66711 / 2



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0269044

PIEŚNI SŁOWICZE

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

K-168/70/66711 P

I.

W małym perystylu pałacu króla Erechteusza coraz więcej żeńskiej gromadziło się czeladzi: z ust do ust ważną podawano sobie wiadomość, że przybysze z Tracji, którzy sprzedali królowi ładunek budulca z gór Pangejskich, otrzymali pozwolenie na pokaz i, o ile się znajdą nabywczyńie — na sprzedaż tkanin i haftów żon swoich i córek. Dowiedziała się o tem i młoda piastunka malutkiego królewicza, rodaczka przedawców, którą z tego powodu nazywano w pałacu poprostu Trattą. Serce jej trwożnie bić poczęło; wstała i, ujawszy dziecko za rękę, skierowała się do perystylu.

— Ty dokąd? — ponuro ozwała się do niej Eurynoma, druga piastunka, pielęgnująca młodszą siostrę królewicza, Kreuzę. Ta była starsza od Tratty, zresztą poza tem, jako greczynka, poczuwała się do niezmiernej nad tamtą wyższości.

— Idę zobaczyć hafty... A ty nie pójdziesz? Eurynoma wzruszyła jeno ramionami.

— Mnie chcą imponować, — mnie, uczennicy nieboszczki królowej Praksytei. Przewyższała ją jedna tylko Pallada — cześć jej, władczyni grodu!

Lepiejbyś i ty nie chodziła; i tak zawiele się zadajesz z tymi wąsalami w spodniach.

Właściwie Trätta była zadowolona, że Eurynoma z nią nie poszła. Nie puszczając ręki dziecka, weszła do perystylu, gdzie aż wrzało od handlu. Kłótnie, żarciki, śmiechy; klucznicą Nikostrata starała się utrzymać ład, lecz już nie było tego porządku, co przy nieboszczce królowej.

— Ile chcesz za tę narzutkę? — targowała się młoda niewolnica.

— Pół miny.

— Weź trzydzieści drachm.

— Chyba, jeżeli siebie dodasz.

Tłusty żart, wyrzeczony łamanym językiem greckim, wywołał powszechny śmiech. Korzystając z okazji, drugi handlarz szepnął wchodzącej Tracie w jej ojczystym języku:

— Dziś, o godzinie wyprzegania byków! Zrozumiałś, Karaksto?

— Zrozumiałam. Lecz ty, Adoście, nie oszukasz mnie?

— Nie bój się. A nie przychodź mi bez malca.

— Naturalnie, że go nie zostawię.

— Pamiętaj-że. — A teraz, ślicznotki, ciągną dalej już głośno po grecku, pokażę towar taki, jakiegoście dotąd nie widziały. Oddacie dusze w zastaw, ale nie pozwolicie mi zabrać go do domu.

Wiele srebrnych sówek przewędrowało tego wieczoru do sakiewek Traków; przewędrowałyby może i wszystkie, gdyby pożegnalne promienie z Egaleju nie ostrzegły handlujących o konieczności przerwania rozmowy.

— A jutro przyjdziecie? — spytała jedna szczególnie nienasycona.

— Przyjdziemy, ślicznotki, przyjdziemy — odpowiadał wąsal. Tylko sówek jak najwięcej przyśzykujcie.

I poczęli układać w pudłach niesprzedane towary.

A tam, w świetlicy, Eurynoma kołysała do snu malutką Kreuzę, która płakała.

— Chcę braciszka! Gdzie jest braciszek?

— Nie płacz, sierotko moja, braciszek przyjdzie. — I nuciła dalej swoją piosenkę:

Będiesz kiedyś królową
I królowej synową.
Gdzie twa nóżka stąpi mała,
Tam wyrośnie róża biała...

Ale dziewczyna wciąż nie chciała się uspokoić, wciąż płakała rzewnie.

— Chcę braciszka! Gdzie jest braciszek?

II.

— Nianiu, tu jest tak strasznie. Woda wciąż i woda, nic nie widać prócz wody.

— Pomódl się do Nereid, mój drogi, a strach minie.

— A jak trzeba się do nich modlić?

— Podnieś rączkę tak, jak się zwykle modlisz.

— Tak, jak się modłę do naszej opiekunki, dziewczicy-Pallady?

— Tak, kochany, tylko rączki wyciągnij do morza. I mów: „O potężne Nereidy, dajcie nam szczęśliwie przepłynąć“.

— O potężne Nereidy, dajcie nam szczęśliwie przepłynąć! Nianiu, a gdzie one są, te Nereidy?

— Tam, moje dziecko, w tych modrych falach. Lecz my ich nie widzimy.

— O nie, nianiu, ja je widzę. O, tam widzę — i tam — i tam. Dużo, dużo Nereid. I takie ładne, zupełnie, jak ty.

— Co ty! co ty mówisz, kochany, nie należy mnie, śmiertelnej, porównywać z boginiami: one się obrażą.

— To one złe?

— Nie, one się tylko na złych gniewają, a dla dobrych zawsze są dobre i ratują ich od burz i skał. I nasz okręt dawno by zginął, gdyby one nie były dla nas przychylne.

— To tutaj wszyscy są dobrzy?

Niania nic nie odrzekła. Pomyślała, że gdyby to, co powiedziała, było prawdą, to już dawno by ich okręt leżał na dnie morza.

— I ten wujek, co cię niedawno całował, także jest dobry?

Niania umilkła i zarumieniała się.

— Nianiu, a dokąd my jedziemy?

— Do twojej cioci, mój śliczny.

— Do jakiej cioci?

— Czyżbyś nie słyszał o twojej cioci Prokne, siostrze twego ojca? I o drugiej twej cioci Filomeli?

Twarz chłopczyka nabrała nagle wyrazu przeżenienia.

— Słyszałem, nianiu. Słyszałem, jak niania siostrzyczki mówiła o nich z Nikostratą. Ale ona

mówiła coś niedobrego i Nikostrata rozplakała się; powiedz, nianiu, jak to było?

— A było tak, że twoja ciocia Prokne wyszła zamąż za Tereusza, króla tej krainy, do której jedziemy.

— A jak on wyglądał ten Tereusz?

— On wyglądał tak, jak ten wujek, który... który z nami jedzie.

— To on był także w spodniach? Z takimi samymi wąsami, takimi długimi i śmiesznymi?

Właśnie Adost przechodził koło nich i, usłyszawszy słowa dziecka, z niezadowoleniem potrząsnął głową i mruknął coś gniewnie w swoim języku.

— I także był taki złośnik?

— Nie, mój miły, ale ty się nie śmiejesz z tego wujka: on tego nie lubi.

— Opowiadaj mi o cioci Prokne. Więc Tereusz zabrał ją tam daleko?

— Tak, zabrał ją.

— A co dalej?

— A dalej to, że twoja ciocia Prokne żyła z nim szczęśliwie, aż urodził im się synek, Itys.

— A ja nie wiedziałem, nianiu, że mam braciszka. Myślałem, że mam tylko siostrzyczkę Kreuzę...

Dziecku nagle stało się smutno.

— Chcę do siostrzyczki! gdzie jest siostrzyczka?

— Nie smuć się, drogi, przecież jedziemy do braciszka. No, więc, żyła sobie, żyła twoja ciocia i zatęskniła za siostrą, tak jak ty w tej chwili, I powiada do męża: mężu mój kochany, przywieź

mi moją siostrę Filomełę. I pojechał Tereusz znowu do nas do Aten i wziął z sobą ciocię twoją Filomełę, i powiózł ją do siebie...

— A co dalej?

— A dalej... to już niedobrze. Skrzywdził twoją ciocię, Filomełę. Teraz nie zrozumiesz tego mój kochany, a jak będziesz duży — zrozumiesz.

— To on był złośnik?

Znów Adost przeszedł i na widok chłopczyka zmarszczył brwi.

— Taki złośnik, jak i ten wujek?

Adost usłyszał te słowa i pociągnął dziecko boleśnie za ucho. Chłopczyk się rozplakał.

— Nianiu! jak on śmie mię krzywdzić?

Tratta wypowiedziała krzywdzicielowi kilka słów w swoim rodzimym języku, ale i na nią zaczął krzyczeć. Więc i ona zalała się łzami i rozpaczliwie przycisnęła chłopczyka do piersi.

— Co ja zrobiłam, bogowie, co ja zrobiłam!

III.

Żywiczny aromat sosnowego gaju, roztopiony w upale dnia wiosennego, unosił się w wietrzyku wieczornym. Słońce zachodziło za modry łańcuch gór Pangejskich, oświetlając swemi skośnymi promieniami olbrzymi drewniany posąg dzikiej bogini, potrząsającej dwiema włóczniami i wspierającej się kolaniem na grzbiecie powalonej łąni. Pod tym posągiem siedział mężczyzna o wyglądzie niemniej dzikim, w wilczej czapie, z której groźnie sterczała para rogów; zwracał się on krótką urywaną mową

do gromadki innych mężczyzn, wśród których był i Adost. W pobliżu siedziała w milczeniu Tratta z dzieckiem.

Chłopczyk z początku przyglądał się ciekawie to bałwanowi dzikiej bogini, to dzikim ludziom. Co oni robią? Na kolanach u rogatego leżały jakieś drewniane pałeczki; po odpowiedziach Adosta brał on coraz inną z nich w ręce i robił na niej jakieś ząbienia. Pracę swoją obficie zapijał winem, w czym zresztą naśladowali go też wszyscy pozostali mężczyźni. Doprawdy, stawało się to nudne.

Cyt... cóż to ozwało się w krzewach? Śpiew słowika. Zupełnie, jak w Atenach, w gaju Kolońskim. Tylko daleko bliżej; rozróżnia wyraźnie piewczynię. Przelatuje ona z gałązki na gałązkę i patrzy nań tak przyjaźnie swojemi mądrymi oczkami. Wydaje się, że mógłby ją pochwyć. Nie, w ręce wziąć się nie daje, ale nie odfruwa daleko i śpiewa wciąż, śpiewa tak słodko, tak pieśzczotliwie. Oj, ptaszyno, gdyby zrozumieć, co mi chcesz powiedzieć!

Oto skoczyła na górną gałązkę i jakby kogoś wzywała. I rzeczywiście, ktoś nadlatuje. Taki śmieszny. Bury z pstrokatemi skrzydłami i ogromnym czubkiem. Przyleciał i powiada: „Du-du! du-du!“ To pewnie znaczy: „jestem, co rozkażesz?“ Widać piewczyni coś mu rozkazała, bo „dudek“ znowu odleciał. I znów na cały gaj rozbrzmiewa pieśń słowicza, pieśzczotliwa, słodka i taka żalonna, taka żalonna. Na płacz się zbiera.

Cyt... jakiś łomot słyhać z wysokości, para

ogromnych skrzydeł przysłoniła słońce. Wiem: to jest sęp: widzieliśmy z ojcem takiego na Likabecie. Ratuj się, droga! Lecz ona ani myśli się ratować. Sęp opadł na wierzchołek sosny i patrzy stamtąd na chłopczyka, aż strach. Ale słowik rozetkał się jeszcze silniej i pieśń jego rozprasza strach.

— Kikkabau! Kikkabau!

Ach, wiem: to stara przyjaciółka z Akropolu, nasza kochana sowa, ptak Ateny. Teraz niema się już czego obawiać. To ona tam siedzi na dolnym grubym sęku sosny. Siedzi, patrzy i jakby się uśmiecha swoją okrągłą twarzą. I nawet ta ptaszyna jej się nie boi: skoczyła jej wprost na głowę i czyści sobie dziobek o jej pióra. To pewnie ma oznaczać: jak się masz! — Och, przeszkadzili! A zresztą, nic to nie szkodzi: przynieśli dzban mleka i kawał chleba. A choć się przegłodziłem, pomimo to nakarmię okruszynkami ptaszynę. Masz, kochana! Cóż to? Spozrzęła, lecz nie chce okruszków i kręci łebkiem. Widać jej nie smakuje. A to co? Całe stadko ziab, dwie, trzy, mnóstwo. I nagle niema okruszek, wszystko wydziobały. Jakież one oswojone!

— Du-du! Du-du!

A, znówuś się ukazał, stary znajomy. I jaką chmarę z sobą przyprowadził: sroki, sójki, dzięcioły, drozdy, synogarlice i kraski. Ale najśmielsza ze wszystkich przyleciała jaskółka, usiadła na ręce, kłania się główką i wciąż szczebiocze. Chciałbym zrozumieć, moja ty, ale nie mogę...

Cały gaj zapełnił się ptakami; ze wszystkich

stron zlatują się, jak na wiec. Na każdej gałązce po kilka: hałasują, piszczą, śpiewają, każdy na swój sposób.

Lecz nagle inny hałas przerwał marzenia chłopczyka. Adost zakończył swe sprawozdanie i wysypał z worka stos srebrnych tetradrachm. Rogacz je przeliczył i widać było, że jest zadowolony.

— A teraz — zakończył Adost — bierz i dodatkowe. Po sprzedaży — zdobycz. Pierwsza zdobycz — oto ta niewiasta. Druga zdobycz — chłopczyk, hellen. Mały, ale zdrowy; gdy wyrośnie, będzie z niego dobry niewolnik.

— Prowadź ich tutaj, — rzekł rogacz.

— No, Karaksto, pójdź do króla.

Zerwawszy się, popatrzyła nań ogromnymi z przerażenia oczami.

— Co mówisz! Opamiętaj się! Żonę własną w niewolę zaprzędajesz?

— Co ty za żona! Tego brakło, żebym brał za żonę niewolnicę helleńską!

— Adoście! Wszak przysięgałeś, że będę ci żoną i że tego chłopczyka przyjmujemy za syna.

— Głupia, a któż ci kazał wierzyć?

— Zdrajco! Krzywoprzysięzco! Niech cię ta bogini ukarze, nasza potężna Bendyda!

— A ty? zdradziłaś swych panów, a oczekujesz wierności od obcego? Dalej! ruszaj przed króla! Nieszczęsna niewiasta jękla.

— Co ja zrobiłam, o bogowie! Co ja zrobiłam!

I porwawszy dziecko na ręce, jak szalona pomknęła z gaju, wprost we mgłę nadciągającego wieczoru. Rzucili się w pogoń Tracy, lecz nogi

ich niezbyt słuchały, — jakoś zbyt wiele pozostawali w tyle. Lepiej się wiodła pogoń powietrzna — wszystkie ptaki mknęły za uciekającą; lecz ta pogoń nie była straszna.

Wciąż dalej, a dalej po zboczu dzikiego Pangeju.

Wtem krzyknęła Tratta i upuściła dziecko. Ziemi zabrakło pod jej nogami, i runęła w przepaść. Jeszcze krzyk jeden z dna przepaści — a potem cisza grobowa.

IV.

Lecz dziecko wraz z nią nie upadło. Zaraz, zatoczywszy się, poczuł pod sobą coś miękkiego, ciepłego i puszystego. Chwycił rączkami za to coś i zrozumiał odrazu, że obejmuje szyję sępa.

Sęp ociężale machnął skrzydłami i wkrótce wolno opadł ze swym ciężarem w drugiej części wąwozu; chłopczyk stanął na nogach.

Wokoło była ciemność. Nad sobą rozróżnił prostopadłą ścianę, ponad nią niebo, usiane gwiazdami. Przed sobą krzewy i drzewa.

— Nianiu! nianiu!

Milczenie. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zapłakał.

— Kikkabau! Kikkabau!

Strząsnął łzy; chwala bogom, nie jest sam. Stara piastunka akropolska jest także tutaj.

Powtórzył się zew. Poszedł w jego kierunku; dziwna rzecz, rozlegał się jakby z wnętrza skały. Aż oto w skale jest pieczara, a z głębi jej migają

gościnnie dwa światełka. To jego gospodyni, poczciwy ptak Pallady.

Wszedł do pieczary. Sucho, ciepło, wonnie, jakby czyjaś oń troska zebrała umyślnie tymianek z górnych zboczy Pangeju. Grunt skalisty, lecz oto nagle coś miękkiego. Pomacał ręką — podściółka z liści suchych, okryta delikatnym puchem ptasim. Jakby ktoś przygotował dla niego posłanie. Położył się i zasnął tejże chwili.

Przyfrunęła sowa i okryła go swemi szerokiemi skrzydłami.

Tak minęła noc.

A gdy dnia następnego słońce do pieczary zajrzało, dziwny zoczyło obraz: jak kwoka siedziała nad śpiącym dzieckiem sowa, nie ruszając się z miejsca.

Lecz razem ze słońcem przyleciała do jaskini piewczyni wczorajsza i zaraz zaszczebiotała wesoło.

— Jeszcześ tu, Niktymeno? Dzięki ci, żeś ogrzała mojego chłopczyka!

— Jest za co, rodaczko: prawdę rzekłszy, straciłam przezeń polowanie nocne i trzeba będzie iść spać o pustym żołądku. Raz można tak zrobić, lecz na noc następną wymyśl, proszę, co innego.

— Już wymyśliłam. Poleciałam sójce i kobusowi zdjąć wełniane okrycie z owej nieszczęsnej; schnie ono teraz na murawie, a potem damy je dziecku zamiast kołderki.

— Schnie?

— Tak. Przecież ona wpadła prosto do stru-

mienia, który już do połowy przysuł ją piaskiem. Tak nawet lepiej, nie trzeba jej kopać mogiły.

— A jakże ty go nakarmisz?

— Także obmyśliłam. Dziadek Gip, ten, co go wczoraj uratował — obiecał mi przynieść ze wsi trackiej szkopek z mlekiem. A po chleb wysłałam sroki, one przecież są mistrzyni w kradzieży. Lecz oto i one.

Rzeczywiście, w pieczarę wefrunęły trzy sroki, każda z obwarzankami wkoło szyi. Poczęła się natchmiast paplać: „jak się masz, Prokne?” „jak się masz, Prokne?” „a gdzie twój mąż?” i t. d. Dziecko podniosło główkę i zaczęło przecierać oczy.

— Ot i przebudziło się — rzekła sowa — no, mogę się udać na spoczynek po nocnym głodzie. A już dawno oczy mi się kleją; całkiem osowiałam, jak mówią u nas w Attyce. Życie mi spokojnego dnia, dzieciaki moje.

I wpakowała się w najciemniejszy kąt pieczary.

— A gdzie twój mąż? — pytały natarczywie sroki.

— To, moje drogie, tajemnica.

— My nie powiemy nikomu.

— Aha, akurat wam uwierzę. Nie, powiedzcie mi lepiej, gdzie zostawiłyście starego Gipa.

— Leciał z nami, lecz pozostał w tyle: ciężko mu ze zdobyczą w szponach. A ty jednak co do męża...

— Posłałam go po trawkę, a po jaką, nie powiem, choćbyście nie wiem jak prosiły. Nemezys nie pozwala.—A, Gip, prosimy. No, widzę, żeś

i o sobie pamiętał: w pazurach szkopek, a w dziobie, zdaje się, kura?

— Trzeba było pomyśleć i o Niktymenie — odrzekł Gip, ostrożnie stawiając szkopek na ziemię i biorąc kurę w pazury.—Hej, ciotko! Poczekaj ze spaniem, podzielimy się wprzód zdobyczą.

Z głębi pieczary dało się słyszeć aprobujące „kikkabau“ i sęp przepadł. Dziecko leżało jeszcze w półśnie i przecierało oczy.

— Du-du! du-du!

— Jesteś i ty, Tereuszu. W samą porę. Widzę, że znalazłeś trawkę.

— Znalazłem, żono. Cały Pangej obleciałem. Wszystkie żmije zwołałem. Nie wiesz, nic. Wszystkie aby jesteście, pytam? Nie, mówią. najstarszej gadziny niema, jej ciało zgrzybiałe nie ma sił już pełzać. To ją przywleczcie, mówię.

— Wstrzymaj się z opowieścią. Dziękuję wam, drogie, zostawcie swe obwarzanki i pofruńcie do kukułki. Prokne, powiedzcie, kazała się kłaniać i opowiedzieć o sikorce, że wysiedziała jakieś podejrzane piskłę, niepodobne ni do matki, ni do ojca.

Sroki wyfrunęły z pieczary.

— Teraz mów dalej.

— A więc, mówię, przywleczcie ją. Wybrały się dwa młode węże, zawiązały swe ogony na węzeł wkoło starej i przyciągnęły ją. Zwracam się więc do niej. „Tak, rzecz, jedna taka trawka pozostała jeszcze w głębokiej przepaści Pangeju, lecz jakżeż tam dopełnę?”

Na szczęście, znalazł się puhacz w pobliżu, okręcił sobie gadzinę koło szyi i przyświecał jej

słepiami, gdyby latarniami. Szukali, szukali, aż znaleźli.

— Doskonale.

Wzięła trawkę w dziobek, podfrunęła do sennego dziecka i zawisnąwszy nad jego otwartymi ustami, poczęła ją gniesć, tak, żeby sok ściekał mu w usta. Wycisnęła trzy krople i odrunęła na bok. Chłopczyk zbudził się całkowicie.

V.

— Dzień dobry, kuzynie, czy dobrze się spało? Zerwał się chłopczyk i obejrzał się wokoło.

— Kto mówi? czy to ty, nianiu?

— Nie, drogi: nie masz już piastunki. Mówi z tobą ciocia twoja, Prokne, do której jechałeś w odwiedzin, niegdyś kobieta, teraz ptaszyna, słowik. Już wczoraj mówiłam do ciebie, lecz nie rozumiałeś mnie; a dziś zrobiłam tak, że będziesz i mnie i wszystkie inne ptaki już rozumiał. Ale przedewszystkiem wypij mleko i zjedz chleb na śniadanie.

Szybko minęło zdziwienie chłopczyka, a za to głód przemówił. Gruntownie go zaspokoiwszy, począł szukać oczami swojej rozmówczyni.

— Ciociu!

— Co, mój miły?

— A co będziemy teraz robili?

— Pójdziemy na przechadzkę. Chcę ci pokazać moje królestwo. Spodziewam się, żeś słyszał, iż jestem tych miejsc królową.

Chłopczyk wyszedł z pieczary; ptaszyna przelatając z krzewu na krzew, ze skały na skałę,

wskazywała mu drogę. Dolina, do której przyniósł go Gip, z jednej tylko strony oddzielona była od reszty świata prostopadłą ścianą skały; po drugiej stronie strumienia ciągnęły się pochyłe zbocza, częściowo porośnięte lasem, częściowo pokryte zieloną trawą. Tam malca poprowadziła przewodniczka. Pytał się jej o wszystko, o każdego ptaszka i każdy kwiatek, i na wszystko otrzymywał od niej odpowiedź.

Zmęczony przechadzką, wyciągnął się pod krzewem: ptaszyna usiadła na jednej z gałązek, wprost nad jego główką i zanuciła swą zwykłą pieśń.

Rozumiał już teraz tę piosenkę—była to pieśń żalobna o losie Itysa, który zginął w niemowlęctwie z matczynej ręki. Zrobiło mu się smutno...

— Jakżeż to się stać mogło, ciociu? — zapytał, gdy swoją pieśń skończyła.

— W szale namiętności, mój miły.

— W szale czego?

— W szale namiętności. Nie wiesz, co to namiętność?

— Nie wiem, ciociu. Wytłomacz mi.

— Więc słuchaj. Mówiono ci, że zostałam małżonką Tereusza, króla Tracji.

— Mówiono.

— Zrozumiejsz teraz. Kochałam namiętnie siostrę swoją, a twoją drugą ciocię, Filomele; kochałam tak, iż żyć nie mogłam bez niej.

— Więc to jest namiętność?

— Tak, drogi, to jest namiętność, jedna z wielu namiętności.

— Ciociu, ja mam siostrzyczkę, Kreuzę, którą bardzo kocham. Przypomniałaś mi o niej i smutek mnie ogarnął.

— To, mój drogi, nie jest jeszcze namiętność, lecz łagodna miłość braterska. Lecz ja nie chciałam żyć bez Filomeli. Więc mówię do małżonka: drogi mój, przywieź z Aten moją siostrę.

— I przywiózł ją?

— Przywiózł, lecz tu wydarzył się grzech, gdyż on pokochał ją również.

— Namiętnie?

— Tak, namiętnie.

— Więc to złe było?

— To było bardzo złe. Przypomnij sobie: twój ojciec miał żonę?

— Rozumie się, moją mamę.

— A czy kochał tak inną kobietę, żeby z niej zrobić żonę obok twej matki?

— Nie.

— Więc widzisz; a małżonek mój tak właśnie pokochał siostrę moją. A gdy ta nie zechciała, to on ją...

— Skrzywdził?

— Tak, strasznie skrzywdził—skrzywdził tak okrutnie, że wypowiedzieć ci tego nie mogę.

— I pocóż on to zrobił?

— Pod wpływem gniewu, drogi. Gniew, widzisz, to też namiętność.

— Cóż dalej?

— Dowiedziałam się o tem. I coś strasznego stało się ze mną. Zapragnęłam się zemścić, zemścić tak okropnie, jak nigdy nikt się nie mścił.

Zabić go—było dla mnie za mało. Trzeba mi było czego jeszcze straszniejszego.

Chłopczyk z zastanowieniem patrzył na opowiadającą. Przypomniała mu się towarzyszka piastunki, której się zawsze obawiał; potem znikła nagle i powiedziano mu, że ona zabiła człowieka. Taka widać sama była wówczas i ciocia.

— Ty nie rozumiesz tego, mój maleńki, lecz wierzaj mi, że wszystkich namiętności—najstraszniejszą jest żądza zemsty. I pomimo wszystko nie spełniłabym tego, co zrobiłam, gdyby nie jeszcze jedno...

— A cóżeś ty zrobiła?

Prokne powoli i z naciskiem odrzekła:

— Ja zabiłam naszego malutkiego syna, Itysa.

— Ach!

— Z pragnienia zemsty, rozumie się; lecz w tem było jeszcze coś. Ty tego tembardziej nie zrozumiesz, bo jesteś malutki. Lecz powiedz, czy ci mówiono, kto jest Dyonizos?

— Mówiono: on nauczył naszego rodaka Ikarjosa robić wino, a Ikarjos nauczył innych. Było to jeszcze za mojego dziada, a twojego ojca Pandjona. Od tego czasu obchodzimy coroczne święta, sielskie Dyonizje, Leneje, Antesterje. Wtenczas bywa bardzo wesoło.

— To jeszcze nie wszystko. Czy ci mówiono, co to są obrzędy Dyonizosa, jego nocne orgje w górach? Zresztą na cóż pytam, wy ich jeszcze nie znacie. A tu, w Tracji, znają je dawno i obchodzą. A więc postaraj się zrozumieć mnie: w tych orgjach człowiek dochodzi do szału i wszystko wydaje mu

się olbrzymiem. W taki szal wpadłyśmy i my obie z siostrą i razem zabiłyśmy Itysa.

— A cóż on, twój mąż?

— Rzucił się na nas z mieczem w ręce. Lecz bogowie ulitowali się nad nami. Chciałam uciekać i nagle poczułam, że fruwać i stać się zupełnie zupełnie malutką. Oglądałam się i widzę, że z nim staje się to samo. I odtąd jestem słowikiem, Filomela — jaskółką, a Tereusz — dudkiem.

— O cześć bogom wielkim! Lecz wytłomacz mi jeszcze jedno. Widziałem cię razem z mężem i porozumiewaliście się ze sobą, a żadnej nienawiści nie było między wami. Ja tego nie pojmuję.

— To dlatego, mój drogi, że, zostawszy ptakami, zstąpiliśmy poniżej namiętności.

— Poniżej namiętności?

— Tak. Słyszałaś oto, jak w mojej pieśni opłakiwałam syna mego, Itysa, którego sama zabiłam; tak, smucę się przez to, i nigdy już ten smutek mnie nie opuści. Lecz smutek, to nie rozpacz, nie namiętność; my, ptaki, możemy się smucić, ale rozpaczać nie umiemy. To samo jest z gniewem: alboż ptaki znają gniew? Nastroszą piórka na chwilę, a po chwili już nie pamiętają powodów gniewu. Prawdziwe namiętności mewacie tylko wy — ludzie.

— Jak dziwnie to wyrzekłaś: poniżej namiętności. A powiedz, czy jesteś szczęśliwsza, odkąd tak żyjesz?

— O tak, kochany, o wiele szczęśliwsza. I wielokroć myślałam, że jeżeliby bogowie uczynili cud, gdyby mój Itys zmartwychwstał, tobym i jego du-

szą starała się utrzymać poniżej namiętności. I oto bogowie spełnili ten cud — dali mi ciebie, syna mego brata, ciebie, sierotę. Będziesz mi teraz zamiast syna, a ja zastąpię ci twą zmarłą matkę. Chcę twego zupełnego szczęścia, a do tego potrzeba, żebyś i ty, idąc w nasze ślady; zjednoczył się rzetelnie z matką wspólną, Ziemią, i według praw jej żył. I tak będzie, tak będzie.

Znów zaśpiewała. Lecz była to pieśń nowa: był to hymn tryumfalny na cześć wspólnej matki Ziemi. I rosły trele pieśni coraz silniej i potężniej. Cały gaj wypełniły, rozbudziły, ukoili. I odpowiedział gaj na zew swej królowej; wtórowały jej ptaszęta, wtórowały jej drzewa; nie był to już gaj, ale jakaś czarodziejska olbrzymia lira, grająca wiekuistą pieśń o matce wspólnej, Ziemi-żywicielce.

Malec słuchał, jak oczarowany: i zdało mu się, że chmury, co wieńczą wierzchołki Pangeju, rozstępują się, że pomiędzy nimi widzi on błogosławiony orszak bogów olimpijskich. Słuchają i oni dźwięków liry wspólnej matki-Ziemi, i aby im odpowiedzieć, Apollo bierze własną i gra, gra pieśń nieba bez granic, obydwie zaś te pieśni, łącząc się ze sobą, na skrzydłach niosą jego duszę w dal błękitną, nadobłoczną.

VI.

Prokne dotrzymała przyrzeczenia. Nie opuszczała chłopczyka ani na chwilę: w dzień prowadziła go wszędzie, pokazywała mu wszystko i objaśniała, a nocą, nim zasnęła na gałązce przed pie-

czarą — usypiała go kołysanką. Nad jego wyżywieniem i bezpieczeństwem czuwał Gip z Niktymeną. Szczególniej czynna była pomoc pierwszego. Na rzecz swego wychowawca grabił bezlitośnie wieś tracką, a szczególnie posiadłość bezecnego Adosta, w czym zresztą żwawo pomagały mu podwładne sroki. Niktymena zaś napędzała strachu wszelkiemu stworzeniu, które zechciałoby zbliżyć się do pieczary malca.

Coraz bardziej i bardziej jednoczył swą duszę z dziećmi wielkiej Matki. Rozumiejąc ich mowę, począł się uczyć odpowiadać im w ich języku, a one rozumiały go; wskutek tego mimowoli przejmowały go ich troski i wszystko to, co stanowiło treść ich blahego życia. Stopniowo zanikły w jego umyśle wspomnienia z dalekiej ojczyzny. Zachowując swój ludzki wygląd, z myśli swych i uczuć stawał się ptakiem pośród ptaków, najlichszym i najmniej wiedzącym między niemi.

Minęło lato, zbliżała się jesień. Prokne poczuła w sobie zwykłą jesienną tęsknotę. Wiedziała, że ten niepokój, rosnąc z dnia na dzień, zmusi ją nakoniec porwać się z zasiedziałego miejsca i każe jej pofrunąć na długo do bezśnieżnych krain. I w dwójnasób troskała ją myśl o tem, co się stanie pod jej nieobecność z wychowawcem. „Jak mogłam nie pomyśleć o tem wcześniej“, mówiła do siebie, nie znajdując wyjścia z kłopotu.

Lecz gdy napróżno łamała sobie głowę i naradzała się z Gipem i Niktymeną, tymczasem inna Matka, mędrsza i bardziej przewidująca, poczyniła niezbędne zabiegi. Po jesiennem zrów-

naniu dnia z nocą, malec stał się jakiś ospały, przesypany świt i kładł się spać przed zachodem słońca, mało dotykał przynieszonego mu przez Gipa jadła i prawie nie odpowiadał na pytania Prokne; a po tym wieczorze, gdy Plejady pograżyły się w morze, nie wychodził już z pieczary.

Przeraziła się z początku Prokne: a nuż umarł; ale nie, nachyliwszy się do jego ust, przekonała się, że serce jego wolno bije pod chitonem i że piórka jej czują jego lekki oddech. „Zapadł w sen zimowy“, powiedziała sobie. Zwołała wszystkie znane sobie ptaki i zleciła im wyskubać ze siebie tyle puchu, żeby się nad chłopczykiem utworzyła cała górka. Zwierzchu Niktymena przykryła go kołderką, a żórawie nadźwigały kamieni, żeby to okrycie przymocować do ziemi. Potem Gip z przyjaciółmi zawalił wejście dopieczary nałamanemi przez wichry gałęzmi, zostawiwszy niewielki tylko otwór dla Niktymeny. Prokne wyśpiewała swemu sennemu synkowi pieśń pożegnalną i potem udała się w drogę.

Nadeszła zima burzliwa i śnieżna. Zagroziła wejście do pieczary ścisłą i białą ścianą, a w pieczarze spokojnie drzemał mały ateński gość na łonie ciepłym Matki-Ziemi pod ciepłym pokryciem, utkanem przez jej dzieci.

I kiedy z nadejściem wiosny ściana stopniała, gdy znowu pozieleniał gaj — wróciła Prokne i obudziła swego ulubieńca pieśnią-wezwaniem. Nie odrazu otrząsnął się z zimowej śpiączki, nawet nie odrazu mógł opuścić swoje miękkie łoże; a gdy mu się to powiodło — minęło jeszcze kilka dni, zanim doszedł do świadomości, kim jest i czem

jest i nim powiązał tę wiosnę z jesienią ubiegłą. Lecz zwolna życie w całej pełni wstąpiło w swoją prawa, życie z naturą i w naturze, łatwe, beztrudne i beznamiętne.

Znów wiosna, lato, jesień, znów zima z jej śpiączką i tak rok za rokiem; podrosł chłopiec i Prokne z Gipem i Niktymeną postanowili, że czas mu już samemu myśleć o sobie. I oto pewnego ranka przyfrunął Gip, trzymając w szponach jagnię, porwane z Adostowego stada; za niem nastąpiło drugie, trzecie i więcej. Nauczyli pacholę jak się z nimi obchodzić; owczarnię urządzili w sąsiedniej pieczarze, gdyż Niktymena oznajmiła, że nie ścierpi brudu w swojej.

Pacholę stało się pastuchem. Do ziemi przywiązywał się coraz bardziej. Odczuwał już bezpośrednio wszystkie zmiany kierunku i natężenia wiatru, ciepła i wilgoci powietrza, umiał już przeczuwać jutrzejszą pogodę, nie posilkując się wskazówkami ptaków. Wydawało mu się nawet, że jego dusza roztapia się jakoby w otaczającej przyrodzie, że bierze udział w radości i smutku każdego drzewa, każdego ptaka. Zrozumiał, czemu jest ona szczęśliwa cała, nawet gdy jej oddzielne części cierpią. Tak, myszka cierpi, gdy Niktymena ją pożera; lecz myszka jest tylko częścią natury, a natura osiąga samowiedzę nie tylko w takich częściach, ale i w częściach donioślejszych, a przede wszystkim w swym zespole, jako wielka Matka Ziemia. Ludzie o tem nie wiedzą, rozumował, oni mierzą nas podług swojej miary, miary części i sądzą, że między nami są nieszczęśliwi, i nawet

że nieszczęśliwych jest więcej, niż szczęśliwych. Lecz tak nie jest: jesteśmy wszyscy szczęśliwi, gdyż stanowimy jedność.

Czy w nim samym te myśli się zrodziły, czy też wypowiedziała mu je Prokne? — tego sam nie był pewien. Tak się stopił z nią w jedną całość, że — zdało mu się — ich rozmowa zawiera się w śpiewie tej samej melodji. I ta świadomość dawała mu podwójne szczęście.

Przekonawszy się o tem, postanowiła Prokne, iż nadszedł dla pacholęcia czas ostatniej próby. Rozpoczęła od tego, że kazała mu rozkopać ziemię pod korzeniami pewnego dębu. Spełniwszy jej żądanie, znalazł gliniane naczynie, a w niem skórzany woreczek pełen złotych monet, pochodzących ze wschodniej mennicy: „Przymocuj go do pasa“, rzekła mu, „przyda ci się między ludźmi“.

Potem opowiedziała mu ostatnie wieści z Attyki; że jego ojciec, król Erechteusz, zestarzał się i dziś, jutro umrze, że jego samego uważają za zaginionego, a lud widzi w jego siostrze, Kreuzie, swą przyszłą królowę. „Jeżeli chcesz“, zakończyła „możesz wrócić do Aten i upomnieć się o swe prawa. Zaprowadzę cię do portu Dziewięciu dróg; codzień odchodzą ztamtąd okręty do Grecji — znajdziesz tam i ateński. Każdy z właścicieli okrętów przyjmie cię chętnie za jedną z twych złotych monet. Czy pragniesz tego?“

Ledwo połowę uwagi zwracał wyrostek na jej opowiadanie o swej ojczyźnie, przerywał jej co chwila, aby przywołać owieczkę, która się zbyt oddaliła. Po jej ostatniem zapytaniu spokojnie lecz stanowczo pokręcił głową.

— Niech żyje śliczna siostra moja Kreuza, przyszła królowa Aten przez bogi zbudowanych! Dla niej—dom Erechteusza, a dla mnie— ty i Niktymena i Gip, i wszyscy i wszystko.

Serce Prokne zabiło w piersi radośnie. Tak, pomyślała, moim teraz jesteś, tylko moim.

Nie wiedziała wówczas, jak dalece się myliła, i sam wyrostek tego nie wiedział. Lecz z rokiem każdym czuł coraz mocniej, że gdzieś, w najtajniejszej głębi duszy budzi się w nim coś, co nie roztopiało się w przyrodzie i co roztopić się nie mogło, i właśnie wiosną obecność tego nowego żywiołu dawała się odczuwać z niezwykłą siłą. Sam nie mógł określić, co to było. Jakaś dziwna tęsknota, popęd, niemoc. Południowy wietrzyk, ciepły i wilgotny, wlewał w pierś jego moc krzepiącą, lecz jednocześnie jakby mu obiecywał coś nieokreślonego, słodkiego a niewykonalnego. Więc płakał wtenczas, a sam nie wiedział, czemu płacze.

Pewnego razu przyśnił mu się dziwny sen. Dnia tego wiatr południowy wiał jakąś niezwykłą wonną pieszczotą, i chłopiec był cały pod władzą swych nieokreślonych marzeń.

I we śnie on, który nigdy nie myślał o swojej ojczyźnie, zobaczył siebie w swym domu ojcowskim, wyraźnie ujrzał pewne drobne zdarzenie dzieciństwa, co zdaje się zupełnie znikło z jego pamięci.

W domu było pełno gości; do matki jego, Praksytei, przybyła krewna, żona niejakiego Metyona, ze swoją córeczką, jego rówieśnicą, którą zwano przez pamięć na jej ojca Metyoną. Obydwie matki pyszniły się bardzo swojemi dziećmi—pierw-

sza z nich miała jedyną córkę pośród wielu synów, a Praksytea syna jedynego pomiędzy wielu córkami. I oto w żartach przebrały dzieci: królewicz paradował w sukniach Metyony, a ona przez dzień cały chodziła w jego chitonie. I teraz we śnie wydawało mu się, że w tem przebraniu odczuwa błogość niewypowiedzianą.

Obudził się z imieniem Metyony na ustach, „Opowiedz mi o Metyonie“, poprosił Prokne. Ta się zdziwiła. „Wiem tylko to o Metyonie“, rzekła, „że obecnie na święcie Pallady ma razem z Kreuzą piastować kosze, i że ludzie nie mogą rozstrzygnąć, która z nich piękniejsza. Ale jej ojciec, Metyon, jest dla twego powodem wielu smutków i zgryzoty; stoi na czele niezadowolonych i szczerze mówi, że po śmierci króla tron się należy jemu i jego synom“.

Obojętnie wysłuchał wyrostek ostatnich słów Prokne i tylko zeicha powtórzył: „Metyona“.

Obecnie cała słodycz marzeń i przeczuć miesciła się dłoń w tem imieniu; wciągał je w płuca razem z pachnącą wilgocią południowego wiatru. Ale było to imię tylko, żadnego określonego wyobrażenia z niem nie łączył. Coprawda nieraz zapypywał siebie, jak też wygląda owa Metyona; spróbował nawet odpowiedzieć sobie: „tak, jak moja piastunka“, lecz natychmiast z oburzeniem tę myśl odepchnął. Nie, on tylko czuł Metyonę, lecz nie wyobrażał jej sobie wcale. W korze rozłożystego dębu wyrzył imię Metyony: Prokne nauczyła go pisać, wskazawszy mu litery na attyckiej amforze z oliwą, którą Gip porwał Adostowi z jego go-

spodarstwa. Kwiatami ozdobił to imię i na nowiu ofiarował mu mleko owcze. A najtkliwszą, najbardziej marzącą z pośród pieśni Prokne nazwał „pieśnią o Metyonie“. Śpiewała mu ją często, on zaś spoglądał w dal w zadumie wdychając ciepłą, wonną wilgoć południowego podmuchu.

Tak upłynęły jeszcze trzy lata. Pachole stało się młodzieńcem.

VII.

Zapachniała znów wiosna: przyleciawszy z dalekich krain, zaśpiewała wychowankowi swemu Prokne zwykłą pieśń powitalną, lecz nie zdołała go obudzić.

Był to jakiś dziwny, skuwający sen; pierś chłopca burzliwie się wznosiła, widzenia snadź jakieś, coraz niespokojniejsze, wciąż przeciągały przed oczyma jego duszy.

Nocą ocknął się sam. Jakieś dziwne życie wrzało na całej górze. Wicher ze świstem pędził po gaju, łamiąc suche, a czasem i żywe gałęzie. Wilki, spłoszone ze swych legowisk, coraz wybiegały z gęstwiny; ptaki nocne, zaniedbawszy polowania, unosiły się tędy i owędy. Wszystkie widocznie były opanowane jednym uczuciem — wszystkie jakby czegoś szukały i nagle, jakby to coś znalazły, wszystkie popędziły w kierunku wiatru pod górę. Młodzian, podniecony tem samem uczuciem, pobiegł razem z niemi. Wkrótce zrozumiał dlaczego biegnie właśnie tam. Skrosł świst wichru przebijał się dźwięk liry. W tych dźwiękach było jakieś nieodparte wołanie: usłyszawszy je raz

jeden, niepodobieństwem już było o niczem innem myśleć, nic innego czuć. I im dalej, tem liczniejszy stawał się tłum: wszystkie zwierzęta Pangeju pokrywały ziemię, wszystkie ptaki ją przysłaniały, zacieśniając światło młodego księżyca. W góry, w góry! Cóż to? Nawet drzewa dostać nie mogą, nawet one jakby oderwały się od swych korzeni i cicho suną po zielonym kobiercu. Oto już górna polana; co ludu tutaj! Wszelakiego ludu — mężczyźni, niewiasty, jedni mają w rękach dymiące pochodnie, drudzy cedrową gałąź z szyszką zatknietą na końcu. A tam, na skale, stoi czarodziej z lutnią w ręku. Oto jął śpiewać: teraz zapomina się nawet o lirze...

„Słuchajcie wszyscy! Oświecaj się ludu! Precz od nas ci, których dusza jest martwa, których serce nie bije na dźwięk mojej liry. Niech odejdą stąd: nie zbawienie, lecz śmierć znajdą w pieśni mojej!“

Płacz rozległ się w tłumie; sto czy dwieście mężczyzn i kobiet oddzieliło się od niego i z pochyloną głową jęło schodzić z góry. Lecz młodzieńiec pozostał; czuł, że jego serce drżało radośnie w oczekiwaniu cudów zapowiedzianych.

„Słuchajcie wszyscy! W pieśni mej posłyszycie treść życia swego.“

„Czy widzicie go? Ja go widzę. O, tajemnico ślubów odkupieńczych, ślubów króla niebios z królową świata podziemnego.“

„Widzicie go? Ja go widzę — młodziana odkupiciela, cud cudów, pierworodnego Dyoniza!“

— Widzimy, widzimy — odrzucił tłum. — Cześć mu! Evoe, Dyonizos!

„Przyjdź, o piękny! Przyjdź, niepokalany! Weźmiesz świat, skażony gwałtem ojca i przodków, w rękach twych odrodzi się on w czystocie i prawdzie i wszystko odrodzi się pospół z nim“.

— Przyjdź, o piękny! Przyjdź niepokalany! Evoe, Dyonizos!

„Czy i ich widzicie? Ja ich widzę. O, gniewie utajonej zemsty! Czy na to, Tytani, zdjęto z was okowy, abyście podnieśli swe ręce krwawe na jego postać piękną, niepokalaną? Gorze, gorze! Miedź mają w rękach, ale nie miecze, nie włócznie, miedź gładką, miedź łyskliwą. Nie krew ona wytoczy, lecz obraz, obraz jego wysysa, jego, pięknego, jego, niepokalanego. Już nie jest on cały, Dyonizos pierworodny, w dwunastu obrazach moc jego się przełamała. Uchodź, umiłowany! Odzyskaj swą jedność, abys zjednoczony, mógł i nas odrodzić!“

— Gorze, gorze! Uchodź, ach! uchodź, Dyonizie pierworodny!

„Widzicie go? Ja go już nie widzę. Rozdarty, pochłonięty; dwanaście ciał pochłonęło jego istność. Już niema zbawcy, niema odrodziciela. Tytani pochłonięli Dyoniza pierworodnego“.

— Gorze, gorze! Już niema zbawcy, niema odrodziciela!

„Czy widzicie? Ja widzę! Coś czerwonego leży, coś drga, — ostatnia to nadzieja odrodzenia, jest to serce Dyoniza pierworodnego.“

„Ratuj je, o Pallado! Odnieś je swemu ojcu

niebieskiemu: niech weźmie z powrotem to, co niegdyś wyłonił ze siebie“.

— Ratuj, Pallado! Zbaw Dyoniza!

„O, tajemnico ślubów odrodzeńczych, ślubów króla niebios z królowną tebańską! Strzeliła błyskawica, ogień strawił pałac ślubny; w popiół obrócił śmiertelne ciało matki — ale nie martwiecie się, ludzie! Ocalał boski płód, uratowany został zbawiciel, Semeli syn, wtóry i wieczny Dyonizos“.

— Uratowany nasz zbawiciel! Evoe, Dyonizos!

„Słuchajcie wszyscy! W pieśni mej posłyszycie treść życia swego.“

„O ludzie, krew z krwi Tytanów! Zali nie wiadomo wam było, że w postaci waszych ciał dwa jestestwa waśnią się ze sobą? Po Tytanach macie wszystko, co dzieli, co wyosabia. Po nich narodziny i zgony, po nich męczące koło bytu. Lecz i Dyonizos mieści się w was, rozpylone są w was cząsteczki pierworodnego odkupiciela. Pragnie on znów powrócić ze stanu rozpylenia w dawną jedyną, a wielką istność! Czy słyszycie, ludzie, to wołanie? Ja słyszę je! Jest to zew wtórego Dyoniza, syna królowny tebańskiej, dziedzica serca pierworodnego zbawcy. Zgromadzajcie się, zgromadzajcie się, ludzie! Łączcie się ze stanu rozpylenia, i między sobą, i ze mną, odtwórzmy istność jedyną pierworodnego Dyoniza! Wówczas zerwie się męczące koło narodzin i zgonów, wówczas nastanie wieczna szczęśliwość bytu niedzielnego. Gromadźcie się, gromadźcie się, o ludzie! Doznajcie rozkoszy bytu zjednoczonego, pozaclesnego! Dyonizos was wzywa na swe misterja, da

on wam zakosztować rozkoszy nowej, wiecznej istności, oczekującej dusze wtajemniczonych poza granicami śmierci“.

Umilkł prorok. Milczał tłum oczarowany pieśnią, lecz milczenie to niedługo trwało. Zahuczały tympany, zadzwoniły cymbały. „Do korowodów! Do korowodów!“ I od szalonego tańca zatrzęsa się góra. Przed wzrokiem młodzieńca mignęły białe ramiona, zamigotały rumiane, rozpalone lica: bachantowie, bachantki, szczególnej bachantki. I ścisnął serdecznie te ręce, i twarze te radosne śmiały się do niego — wszyscy stanowili jakoby rodzinę braci i siostr. Słysząc było mowę, której nie rozumiał, lecz mowa była życzliwa, radosna.

Nie pragnął jej zresztą; porywał go taniec, natchniony, szalony tan! Nóg nie czuł pod sobą: całym swoim jestestwem oddawał się temu oszalamiającemu, druzgocącemu wichrowi tańca. Czuł rozkosz, ale zarazem pragnął rozkoszy jeszcze potężniejszej, czekał cudu zjednoczonej, nadcielesnej istności.

Nagle—ostre i wrogie okrzyki. Cóż to? Nie można było zrozumieć, lecz wtargnęło coś obcego, zburzyło powszechny nastrój zachwycenia. Otóż i oni: gromada włoścjan, uzbrojonych w bicz i maczugę; werźnęli się w tłum bachantek, chwytają je... Te bronią się, wrywają. Na czele napadających olbrzym z wielkimi, siwiejącymi już wąsami. Jego to, rozumie się, zwa: „Adost! Adost!“ Na dźwięk tego imienia z najtajniejszej głębi duszy naszego młodziana powstaje coś strasznego, krwawego. Patrzy na niego: któż to stoi przed

nim? Włoścjanin tracki? O nie! Teraz sam czuje on, nie zdając sobie z tego sprawy, że w tych orgjach Dyoniza oszalałemu wszystko wydaje się olbrzymiem. Jest to Tytan, Tytan! A więc to ty rękę podniosłeś na niemowlę królewskie? Zemsta! Zemsta! Zemsta za Dyoniza! Cóż to się ze mną dzieje? Ach, pojąłem teraz, że z pośród namiętności wszystkich, niema straszniejszej nad żądzę zemsty.

Adoście! Adoście! Oto on — Tytan: podbiega, wznosi maczugę!

Jeszcze mgnienie oka, i jej żelazne i ciężkie okucie zmiażdży mu głowę... Lecz młodzian nie czeka. Jeszcze mgnienie oka, i wydartą z rąk olbrzyma maczuga leci daleko, hen aż w gęstwą lasu; mgnienie oka — i on sam pada nawznak; mgnienie oka — i groźna głowa waśala, bryzgając krwią wokoło, głucho uderza o sąsiednią skałę.

Chłopi uchodzą, bachantki za nimi. Evoe! Evoe! I znowu tympany, znowu cymbały. Młodzieniec pobiegł również za nimi, lecz odmówiły nogi posłuszeństwa. Czuje znużenie nagłe i czuje coś jeszcze ponadto, coś, co go trawi, gryzie i dręczy. Pada na ziemię, wybucha płaczem.

Evoe! Evoe! słysząc te dźwięki, lecz już w oddali, już zamierające w powietrzu nocnem. Niema już wiatru, zwierząt, ni ptaków... Wszystko zamilkło. Zamilkło? Nie; wszakże tuż nad nim słyszał jakąś pieśń. To pieśń słowika. Taka żallosna, rozdzierająca duszę.

Śpiewaj ptaszyno, śpiewaj kochana! Gdybym tylko zrozumieć mógł, co chcesz mi powiedzieć!

VIII.

Następnej nocy to samo. Nikt się nie umawiał, nikt nie wydawał zarządzeń, lecz była to prawdziwa wyprawa. Szalona drużyna zbiegła z Pangeju w dolinę, przepłynęła Strymon i po równinach Macedonji skierowała się ku szafirowym góróm Pijeryjskim. Niejeden pozostawał w tyle, niejeden zawracał, zato przyłączali się inni mieszkańcy, a częściej mieszkanki wsi, przez które wiodła droga oszalałych.

Jak wichur pędzili przez sioła; kto nie zdążył się ukryć, bywał porywany. Żony porzucały mężów, matki—dzieci; „w góry, w góry!“—niepodobna było się oprzeć temu wołaniu.

Oto już błogosławiona Pijerja; już na Olimpie brzmi zachwyt nocnych korowodów. Młodzian nasz wciąż na przedzie. Nie pamięta o krwawej nocy Pangeju; i tu nie obywa się bez krwi, bo wszędzie dużo napastników. Już i Olimp został poza nimi; przeszli Peneus, i już Ossa zielona przyjmuje gościnnie drużynę Dyoniza. Słysząc już mowę grecką; rodzina bachantów dzieli się wrażeniami z młodzieńcem. Ten słyszy jej opowieści i czyni mu się smutno. Czyż nie on tańczy tańcem najszałeńszym? Lecz próżno łaknie jego dusza cudów pozacielesnego bytu — bóg ich nie daje. Ciągłe braknie czegoś do uczucia pełni momentu — do uskrzydlenia duszy.

— Czegóż potrzeba? — pyta szczęśliwych towarzyszy. — Czegóż jeszcze trzeba?

— Potrzeba namiętności, — odrzekną mu — potrzeba namiętności ponad wszelką namiętność.

Coś drgnęło w jego sercu. Ponad namiętność? Ktoś mu kiedyś śpiewał o szczęśliwym życiu poniżej namiętności; jakże to było dawno!

— Ależ ja ją poznałem! — odrzekł z uniesieniem. — Pomściłem krzywdę w dzieciństwie doznaną — okrutnie ją pomściłem. Czyż to nie namiętność ponad namiętności — szal zemsty?

— Dla jednych — tak, a dla innych nie, mój przyjacielu. Widać ty jesteś inny. Czekaj, aż bóg cię powoła, jeśli wogóle powoła. Nie napróżno widać powiadają u nas: wielu mamy piastunów tyrsu, ale mało bachantów.

Poza Ossą — Othrys; za Othrysem — Parnass, za Parnassem — Helikon; cudu niema i niema.

Jak wichur poniosła się przez Teby drużyna szalona; wielu się tu przyłączyło do niej — wszak Teby są ojczyzną Dyoniza. A teraz dokąd? Dokąd teraz?

„Na Cyteron! Tam na nas już czekają: nasi wysłańcy zwołali bachantki.“ — „Skąd?“ — „Z Aten“.

Oto nareszcie tajemnicze wąwozy i polany Cyteronu. O, jest to już co innego, wyczuwał nasz młodzian, jest to kraj własny, rodzimy. O słodkie dźwięki mowy attyckiej! Jak nawałnica zalały mu duszę! Huczą tympany, dzwonią cymbały, migają lica, nieznanome lecz bardziej znane od dawnych. Patrzą inaczej i uśmiechają się inaczej.

I on sam stał się inny.

Wznosi się zachwyt, sięga coraz wyżej. Do koła spojrzenia, dokoła uśmiechy! Mili są wszyscy,

lecz gdzież ta ponad wszystko milejsza? Wznosi się zachwyty, kipi siła boska; teraz, ach teraz! teraz nie zawieź, nadziejo!

Dokoła ramiona, dokoła twarze! Ach wy-ż to jesteście, oczy czarne, wy-ż to jesteście, czarne, w nocnym wietrze igrające, włosy?

— Czy to ty, Metyono?

— Czy to ty, Kekropsie?

Do korowodów! Do korowodów!

Ona jest z nim—i na całym Cyteronie niema nic poza nią.

„W góry, w góry!“ Gdzieżeś, o góro? Czyś ty jest tam, głęboko, połyskująca jasnymi smugami? Dalej, a dalej uciekają te smugi, i oto znikły zupełnie. Cyt, jakiś szmer, najpierw daleki, a potem bliższy, coraz bliższy.

To fale morskie z głuchym pomrukiem jedne o drugie biją. Ono pod nami— to morze falujące; spójr, jak się pieni w blasku księżyca!

Śpiewaj, Metyono! W taką noc niepodobna milczeć! Niech nasze pieśni się spoją, bo nasze dusze spoily się już dawno.

Dusze nasze! Gina one w tym ciepłym pachnącym wietrzyku, jak w wielkiej wspólnej duszy. Wiesz, Metyono? On mi już dawno nucił o tobie, ten ciepły, pachnący wiatr; duszę mi twoją niósł, a jam nie wiedział tego.

Dusze nasze! Ależ my nie jesteśmy sami. Patrz, zewsząd biegną ku nam błogosławieni. Byle nie zgubić się w powietrznym korowodzie! A choćbyśmy się nawet i zgubili? Ach, Metyono! Jakże łaknąłem tego cudu! I oto spełnił się... spełniła go

namiętność — wyższa ponad wszelkie namiętności. Czy znasz jej imię? znasz je, Metyono?

Zatracmy siebie! Bądźmy we wszystkim i w nas niechaj wszystko będzie.

IX.

— Powiedz mi, cudzoziemcze, jak zowie się gród ten groźny, co na tej skale się wznosi?

— Jakże to, gościu, nieznasz murów Alkatoosu? Dziękuj Apollinowi, że cię skierował tutaj: przed tobą zbożny gród — słynna Megara. I ty, i żona twoja będziecie w niej bezpieczni.

— Widzę, cudzoziemcze, żeś obywatel Megary. Powiedz-że, proszę, jak zwa waszego króla?

— Nasz król jest Pilas, prawnik Posyдона; jestem jego wysłańcem i mogę ci usłużyć, jeśli masz co do niego.

— Powiedz, że Kekrops, syn króla Attyki, Erechteusza—wraca tu doń wraz z żoną swą Metyoną. Byliśmy w Cyteronie wespół z bachantkami i zstapiliśmy w kraj jego, sami o tem nie wiedząc.

Zadziwiony wysłańiec długo kręcił głową, ale spełnił nareszcie prośbę wędrowca.

Nie nazbyt miłościwie przyjął gości Pilas. Lecz królewska nieufność nie oparła się oczywiście szczerości i prawdzie opowiadań młodzieńca. Mówił o swem dzieciństwie, o porwaniu zradzieckim i życiu na Pangeju.

— Wierzę tobie, o gościu — rzekł król, gdy ten umilkł — ale położenie moje jest kłopotliwe.

W Atenach rządzi Ksutos, mąż królowny Kreuzy. Pojmuję, że twe prawa do tronu ateńskiego są słuszniejsze, niż prawa przybysza; ale zrozumiej, że nie chcę psuć sobie dobrych stosunków sąsiedzkich z Atenami i ich królem.

— Bądź nadal sojusznikiem i druhem mej ojczyzny, czcigodny królu. Co do mnie, skłaniam się przed wolą bogów i nie odbiorę władzy siostrze swej Kreuzie. Niech panuje szczęśliwie i nigdy się nie dowie, że jej brat żyje jeszcze; bracia Metyony niechaj dalej mniemają, że siostra ich zginęła między bachantkami. Ty, królu, w swej krainie daj nam schronienie, jakiś kawałek ziemi na górze Geranei, skąd mógłbym spoglądać na ziemię Pallady i błogosławić jej.

Rozpogodziło się oblicze Pilasa. Lecz Kekrops mówił dalej.

— Nie przystoi synowi Erechteusza prosić jałmużny; mam czem wynagrodzić za ziemię. Oto skarb z góry Pangeju.

Odwiązał swoją sakwę—i potok złota wschodniego popłynął przed oczy Pilasa. A złote monety były wówczas rzadkością w Helladzie; więc choć król Megary był mężem sprawiedliwym, lecz zaiskrzyły mu się oczy na ów widok.

— Widzę—rzekł—żeś zasłużył na łaskę Hermesa; tem droższym będziesz nam gościem. Życzenie twoje zostanie spełnione, lecz nie jako osadnik—jako obywatel, mieszkać będziesz w grodzie Apollina. I niech sprowadzi szczęście nam obu twe przyjsie!

Siedziba na Geranei przyjęła wkrótce Ke-

kropsa z Metyoną: rozpoczęło się życie skrzętne, pracowite. Lecz ktoś jeszcze osiedlił się tam wspólnie z nimi. I gdy po pracy dziennej w swym górnym ogrodzie spoczywali pod cieniem wysokiej topoli, a oczy ich błądziły po wzgórzach oddalonej, niedostępnej ojczyzny—wtenczas w listowiu topoli dźwięczała niemilknąca—żałosna, to znów wesola—pieśń słowicza. I zadumane oblicze Kekropsa jeszcze głębszej nabierało zadumy.

— O czem myślisz? — spytała go razu pewnego Metyona.

— O tem, co my z nią wiemy — odrzekł, wskazując na piewczynię — o cichem mojem dzieciństwie w wąwozie Pangeju.

— Czy tęsknisz za niem?

— Nie. Doznałem szczęścia w życiu poniżej namiętności, i doznałem uniesień namiętności ponad namiętność. Lecz bogowie ludzką przeznaczyli nam dolę — bądźmyż posłuszni bogom!

PIECZEŃ PERSEFONY

— Idź! Idź!

Więc szła i szła coraz dalej, zstępując w tę ciemną noc bezksiężycową coraz niżej po strasz-
nem zboczu, u którego podnóża szemrał Strymon. Nie przeraża jej Strymon, lecz przeraża ją polana
wązka, leżąca między nim a wzgórzem.

Czyż wyobrażała sobie kiedy, że wypadnie
jej tam skierować kroki, jej, królowie Fillidzie?
Lecz poco rozumować! Czyż myślała kiedykol-
wiek, że miał małżeństwa z jakimś królewiczem,
losem jej będzie ta miłość tajemna do helleńskiego
przybysza?... Spóźnione rozmyślania!..

— Idź! Idź!

Gdybyż odpocząć chwilkę! Ach, nie pozwala.
Pochodnia drży w jej ręce; gdyby zgasła, co wów-
czas? Pochodni strzeże jak źrenicy oka, lecz mi-
łośniej jeszcze strzeże tej ołowianej pisanki, którą
czuje pod chitonem, na ciele nagiem, między pier-
siami. Pochodnia—to życie; lecz pisanka—to zemsta.

W lewej ręce pochodnia, a prawą trzeba się
chwytać tych krzewów tarniny i głogu, co bra-
mują ścieżynę skalistą, żeby nie spaść do bara-

tronu. Tak, zstępuje ona do baratronu, ku miejscu, w które obywatele Dziewięciu Dróg z prostopadłej skały strącają, na rozkaz królewski, skazanych na śmierć przestępców. Niedawno jeszcze temu strącono tam pięciu piratów tyrreńskich, którzy nie zdążyli się schronić na swój okręt przekłety. Wzdrygnęła się ze zgrozy, gdy jej opowiadano o tem, lecz zato nazwa pozostała jej w pamięci—nazwa „baratron“. I oto teraz—rozkazał On...

— Idź! Idź!

Przecież idzie, lecz niepodobna tak bez odpoczynku. Połowa drogi jest już poza nią z pewnością; szmer Strymonu słyhać zupełnie wyraźnie, jak gdyby był tuż, u jej stóp. Ostrożnie oparła pochodnię o wystającą skałę i siadła obok: trzeba przeczytać pisanekę, nim ją odda... tej, której imienia się nie wymawia. Coprawda, to przecież sama ją pisała... lecz nie, to nie ona, tylko jej ręka, wraży zaś szeptał jej ten sam głos, który i teraz wciąż jej władczo szepcze:

— Idź! Idź!

— Pójdę, pójdę, lecz muszę w pierw przeczytać. — Wyjmuje pisanekę i czyta przy świetle pochodni:

„Zwiążuję Pandiona, syna Metyony; zwiążuję i tę kobietę, która jest z nim teraz, zwiążuję jej oczy, jej uśmiech, jej język, jej pieśczętę. Zwiążuję Pandiona, syna Metyony, aby zapomniał o tej kobiecie, która z nim jest teraz; zwiążuję tę kobietę, co jest z Pandionem, aby straciły połysk jej oczy, aby zastygł jej uśmiech, oniemiał jej język i aby Pandionowi obrzydła jej pieśczęta.

Zwiążuję Pandiona, syna Metyony, i związanym oddaję go tobie, potężna Persefono; i tak jak on odebrał mi to, co było mi najdroższe, tak, i ty, luba Persefono, odbierz mu to, co będzie dlań najdroższe, odbierz mu wówczas, gdy stanie mu się najdroższe“.

Nie, to już zanadto straszne; choć to ostatnie zakłęcie trzeba zetrzeć. Wróci do domu teraz i tam zetrze je, a jutro spełni, co zamierzyła; wszak i jutro będzie jeszcze nów. A więc, do domu! — Tak, do domu! Jakgdyby ściana, zastygło za nią powietrze: nie pozwala jej stąpić ani kroku. I jednocześnie coraz głośniejszy i władniejszy... czyż to Strymon tak ryczy? O nie, słyży wyraźnie:

— Idź! Idź!

Iść trzeba; a przytem głos ten ma słusność. Zetrzeć ostatnie zakłęcie? Co za małoduszność! Cóż wtenczas pozostanie? Aby zapomniał o tej... o tej nieznanym? Tak, zapomni o niej, to podoba mu się inna; aby zaś kochał ją, ją jedną... nie dała tego Afrodyta, to i Persefona napewno nie da.

Porwała się z miejsca i poszła, coraz dalej, coraz niżej, czepiając się krzaków, świecąc sobie pochodnią po drodze. Oto już dno, teraz trzeba przedzierać się na lewo, pomiędzy Strymonem a skałą. Zabłądzić niemożna: Strymon jest przewodnikiem pewnym, a jeszcze lepszym ten dający się już odczuwać, coraz cięższy, odór trupi. Zapięra oddech. Obrzydliwość i strach! obrzydliwość aż do mdłości, a strach aż do zawrotu w głowie. Nie idzie już, lecz słańia się, nie wiedząc nawet, gdzie nogę postawić. Można się potknąć. O, już się po-

tknęła. Pod stopą coś miękkiego, zimnego, śliskiego. Światła! Al! Leży nawznak nagie ciało; zwłoki, snadż, tego młodego pirata, o którym jej opowiadano: płoże włosy we krwi czarnej, na skroniach krew, pasmo krwi wypłynęło z ust półotwartych, barwiąc górne zęby pod uchyloną wargą. Nie ma sił utrzymać pochodni, nie ma już sił, by utrzymać się na nogach; jeszcze chwila...

— Któż to tu włóczy się po nocy? — dał się słyszeć głos gruby, raczej męski, niż kobiecy. A jednak była to kobieta, acz ogromnie szkaradna. Podeszła bliżej i poznawszy Fillidę, wybuchnęła śmiechem:

— A, to ty, królewno! i ty przyszłaś do czarownic? Słusznie, słusznie! Lecz cóż ci przyszło do głowy, aby do Niewymienianej wybrać się z upiętymi włosami? Pozwól, pomogę ci, lecz pamiętaj, wstaw się za mną, gdy królowa znów mnie rozkaże wychłostać.

I przygarnawszy ją do siebie, zaczęła rozpuszczać jej włosy na ramiona, ogarniając ją przytem całemi falami duszącego odoru trupiego.

— Gotowe już, możesz iść. Lecz widzę, że zupełnie osłabłaś. No, cóż, poprowadzę cię: wynagrodzisz mi za to. Chodźmy! No, chodźmy-ż! Ot, tak, pomału, ale pewnie. No, już zrównałyśmy się z kapliczką Hekaty; gdzie masz garnuszek z objatą? — Nie wzięłaś? Któż to cię tak nauczył? Napewno Surakta: nie napróżno kręciła się wciąż koło was i z twą piastunką się zaznajamiała. Jak mogłaś zaufać takiej głupiej! A do Miodoimiennej nie

można bez Hekaty, podobnie jak do ciebie bez twej piastunki.

Znowu wybuchła śmiechem.

— Co? Mów głośniejsze, dzieciątko; ja przecież nie mam prawego ucha; twa matka, niech bogowie dadzą jej długie życie, odciąć mi je kazala. — I uniósłszy cienkie pasmo siwych rozpuszczonych włosów, pokazała Fillidzie za prawą skronią dziurę, otoczoną czerwoną szramą. Lecz ta ani myślała odpowiadać, nawet nie dosłyszała jej słów, wogóle nie słyszała nic, poza donośnym, rozkazującym głosem:

— Idź! Idź!

— Więc jakżeż będzie z objatą? Może się obejdzie bez tego: ja swoją złożyłam, zobaczy nas razem, to może starczy za obie. Pozwól, że cię mocniej obejmę: niech sądzi, że jesteś moją córką. Wszak miałam córkę w tym wieku, lecz nieboszczyk król, twój ojciec, oby znalazł wieczny odpoczynek na tamtym świecie, tu ją stracić rozkazał. Tam oto kości jej próchnieją. Chodźmy dalej. Otośmy doszły. Tu w skale jest kaplica Wszehmylej. Lecz wejść tam musisz sama; może choć tego wyuczyła cię Surakta, jak należy. Nie zapominaj o Zelrunie, żegnaj!

Zaraz potem znikła wśród trupów. Fillida weszła do pieczary. Pieczara była dosyć obszerna; jedną pochodnią nie można jej było oświetlić całej; ledwo było widać przy ścianie wewnętrznej ogromny posąg bogini z szarego wapniaka. Fillida starała się tam nie patrzeć. Na przodzie środkową przestrzeń zajmował niski kominek z czarnym otwo-

rem, do którego spuszczano krew ofiarnej owcy; lecz nie był on potrzebny Fillidzie, poczęła wy-patrywać na ścianie takiego miejsca, gdzie można by było przybić przyniesioną pisanekę. Nieprędko je znalazła; wszystkie ściany zawieszono były podobnymi ołowianymi tabliczkami. Przytem nie każde miejsce było odpowiednie, lecz tylko takie, gdzie w kamieniu była szparka do wbicia gwoźdźcia. Narreszcie znalazła odpowiednie miejsce, wyjęła z pod chitonu pisanekę, zwinęła ją w trąbkę, gwoźdź przyniosła ze sobą, za młotek mógł służyć choćby ten kamień, przyniesiony tu widocznie w tym celu.

Przytrzymując lewą ręką trąbkę z gwoździem, zamierzyła się prawą:

— Raz!

Odpowiedział jej rozzwierający, przeciągły krzyk dziecinny. Ręka jej opadła: cóż to? Ściana krzyczy? Czy pisanaka? Czy może kto tam w baratronie, gdzie ta wiedźma, Zelruna, obszukuje teraz trupy? Milczenie dokoła: zdawało jej się, ot i wszystko.

— Dwa!

Znowu ten krzyk, jeszcze przeraźliwszy i bardziej przeciągły, niż poprzednio. Gdzieś ten głos słyszała... Ach! Nie, lepiej nie myśleć, aby nie oszaleć do reszty.

— Trzy!

I poczęła, jak oszalała, bić coraz częściej, póki gwoźdź nie zagłębił się zupełnie w ścianie; potem rzuciła kamień i wybiegła nazewnątrz. Krzyk nie ustawał, lecz wtórował mu wielogłosny ryk i wycie, ryk i wycie wszystkich umarłych, którymi

było zasłane dno baratronu. Dopiero teraz spostrzegła, jakie ich było mnóstwo: modre ogniki coraz pojawiały się tu i tam, oświecając twarze skażone i rozkładające się, rozsypujące się ciała.

Porwała się do ucieczki, lecz biec było trudno: wszędy trupy i trupy... Wyciągają do niej ręce, chwytają podół jej sukni. Owego władczego głosu już nie słyszy więcej, zagłuszył go krzyk dziecka i ryk, i wycie umarłych.

Pomimo to wrywa się, ucieka, lecz oto znów ciało młodego pirata z zastygłą krwią w kędziarach, z zakrwawionemi, rozchylonemi ustami i bielejącemi z pod górnej wargi zębami. Ten jej nie wypuści: mocno wczepił się w nią silnemi żyłastemi rękoma... Już słabnie w walce i pada; upadłaby, gdyby jej nie podtrzymały czyjeś ręce.

A co zaszło potem, tego już nigdy przypomnieć sobie nie mogła. Ocknęła się w swej komnacie, leżąc na miękkich dywanach, które pokrywały jej łożę; przed nią stała jej piastunka i sączyła jej w usta słodki odwar z mięty. Milczały obie; i głosu owego nie było słyhać, umilkły ryk i wycie; tylko krzyk dziecka nie ustawał i rozlegał się wyraźnie z kołyski, przysuniętej do jej łoża, tam, koło nóg.

Na znak jej piastunka otworzyła okiennicę: do komnaty wraz z falą świeżego powietrza wpadła głośna pieśń słowika, który śpiewał tuż nad okiennicą na gałęzi topoli. Dziecko ucichło w okamgnieniu i, zwróciwszy twarzyczkę w stronę okna, poczęło się wsłuchiwać.

Na wschodzie zapalała się zorza.

II.

Misterja dyonizyjskie, które powstawały o jedno pokolenie wcześniej na sąsiedniej górze Pangeju, zdążyły do tego czasu zapuścić głębokie korzenie wśród całego ludu trackiego, szczególnie zaś wśród ludności nawpół greckiego, a nawpół trackiego miasta Dziewięciu Dróg. Świętowano je co tryeterydę, t. j. co drugi rok; ponieważ zaś wkrótce po opisanem zajściu przypadała tryeteryda, więc i Fillida ze swą przyjaciółką Iantą, młodą kapłanką, wzięła w niej czynny udział. Lecz nie znalazła w tem ulgi, przeciwnie: nastrój jej, i przedtem niewesoły, stał się tak ponury, że matka jej, owdowiła królowa, poczęła się niepokoić o jej życie.

Razu pewnego, gdy pogrążona w smutnej zadumie siedziała przy kołysce swego śpiącego dziecka, ozwało się pukanie do drzwi; na jej zaproszenie wszedł mężczyzna, młody jeszcze i piękny. Zdziwienie jej minęło szybko: poznała Aglaodora, natchnionego proroka Dyoniza, gorliwego rozpowszechniciela jego kultu.

— Nie chcę cię w błąd wprowadzać, królewno, rozpoczął: twa królewska matka prosiła mnie, abym się zatroszczył o ciebie. Pomyśl i powiedz: czy możesz mi zaufać i przyjąć mą radę? Coprawda, z wieku mego nadaję się raczej na twego brata; lecz Dyonizos zsyła mi natchnienie, a Orfeusz mnie oświecił.

Fillida długo i badawczo popatrzyła mu w oczy; znalazła coś ciepłego i uspakajającego w ich głębokim blasku wewnętrznym, i odrzekła cicho:

— Zgadzam się.

Przysiadł się do niej.

— A więc odpowiedz mi szczerze, nie ukrywając niczego, wszystko, co się tyczy jej — wskazał dziecko — urodzenia.

Zarumieniła się Fillida. Lecz szybko opanowała swój wstyd i jęła opowiadać.

— Było to wiosną roku ubiegłego. Na pierwszym okręcie z Hellady przybył do nas Pandion, syn obywatela Megary Kekropsa i atenki Metyony: zamiarem jego było pozdrowić te miejsca, gdzie upłynęło cudowne dzieciństwo jego ojca, a przysięgą pomówić z mym ojcem w imieniu króla megarskiego Pilasa o możliwości wspólnego wydobywania złotych skarbów z Pangeju. My, Tracy, nie umiemy z nich korzystać, lecz oni, Hellenowie, dużo umiemy. Podobała się ta myśl ojcu memu, i gościnnie przyjął go w swym pałacu. Tam go ujrzałam... i pokochałam. Często chodziłam wówczas do pewnego lesistego wąwozu Pangeju, gdzie mieliśmy umówione miejsce spotkania. Tak upłynęła wiosna, najszczęśliwsza wiosna mego życia.

— Z końcem wiosny odjechał i on, i trzeba było wtajemniczyć rodziców w to, co się stało. Mama życzliwie wejrzała na moją miłość, acz smutno jej było, że nie wyprawi mi wesela z którymś z królewiczów trackich; ojciec, chcąc na kimś wyrzucić gniew, kazał strącić do baratronu pewną dziewczynę miejscową, którą podejrzewał, że służyła Pandionowi czarami miłosnymi przeciwko mnie. Było to zresztą niesłuszne. Prawda, że często krą-

żyła koło Pandiona, lecz raczej dla siebie, choć, zdaje się, bez powodzenia.

— Zdaje się?

— Czy ja wiem! Zobaczysz. Dla mnie w każdym razie nie trzeba mu było jej czarów: posiadał dosyć własnych. Wkrótce potem umarł mój ojciec, do ostatniego dnia zachowując mi swą miłość. Tejże zimy urodziła się ona; dałam jej imię takie, jakie mi dać kazał na pamiątkę tej szczęśliwej pory naszego życia, „córy wiosny“, Eryny.

Aglaodor niecierpliwie odsunął stół.

— Wyjaśnij mi jedno, królewno. Więc on cię oszukał i porzucił, a ty zachowałeś dlań wdzięczną pamięć i nazwałaś swą córkę według jego, jak mówisz, polecenia?

— Jakżeż inaczej? Przecież to jego dziecko, które ja mu urodziłam. Oszustwa tu wcale nie było: wiedziałam, że prawa helleńskie nie uznają małżeństwa między Hellenem a córką barbarzyńców, wiedziałam, że jest zięciem króla Megary i nigdy zazdrosna o żonę jego nie byłam. A nawet nie wiadomo, kto więcej z nas pragnął dziecka, czy on, czy ja; żegnając go, byłam szczęśliwa, że nie całego go tracę. Jednego mi tylko żal było na razie: marzyłam więcej o synie wiosny. Lecz i to już minęło.

Miłośnie spojrzała na dziecko; Aglaodor zaś z niezadowolaniem potrzęsął głową.

— Na wiosnę znowu przyjechał Pandion, który nie wiedział nic o śmierci mego ojca; wobec zmienionych okoliczności, zmuszony był wraz z giermkiem zatrzymać się u pewnej obywatelki tutejszej,

uczciwej wdowy, Surakty. Pobyt jego nie trwał długo: matka moja, przyjąwszy go uprzejmie, odpowiedziała mu, że, jako kobieta, ma zamiar rządzić swym ludem podług wskazań przodków i że wydobywanie złotych skarbów z Pangeju należy odłożyć do czasu, gdy na tronie Dziewięciu Dróg zasiądzie mężczyzna. Pandion mógł być już trzeciego dnia odjechać, lecz zdarzyło się tymczasem coś... bardzo dziwnego.

Głos Fillidy zaczął drzeć.

— Surakta miała młodą córkę, która natychmiast po przybyciu Pandiona zakochała się do szaleństwa w jego giermku. Nie doznając odeń wzajemności—dla przyczyny bardzo zasadnej, jak się dowiesz—zwróciła się o pomoc do pewnej doświadczonej czarownicy, matki tej dziewczyny, którą ojciec mój kazał strącić do baratronu; i ta dała jej środek tak silny, że giermek obłożnie zaniemógł. Sprawa się wydała; matka moja według praw tutejszych surowo ukarała czarownicę, lecz dopiero po dziesięciu dniach giermkowi polepszyło się o tyle, że mogli odjechać. A po ich odjeździe wydało się coś jeszcze...

Porwała się z miejsca i szybko zaczęła chodzić po komnacie. Aglaodor nie spuszczał z niej oczu, pełnych współczucia i niepokoju. Wkońcu wybuchła złowrogim śmiechem:

— Giermek okazał się giermkinią!

Aglaodor z kolei zerwał się z miejsca.

— Tak! — ciągnęła Fillida. — Wiedziała o tem tylko Surakta, która pielęgnowała chorą; będąc w przyjaźni z moją piastunką, opowiedziała jej o tem,

a ta powiedziała mnie. Wtenczas, już sama nie wiem, co się ze mną stało; tak, jakbym swą wolę straciła, jakiś Alastor towarzyszył mi wszędzie, rozkazując mi, co mam czynić. Surakta nauczyła mnie odpowiednich czarów, ale pisankę ułożyłam sama, lub raczej ułożył ją Alastor, a ja napisałam tylko. A oto, co napisałam...

Powtórzyła Aglaodorowi treść pisanki; przy ostatnim zaklęciu wzdrygnął się.

— I on, ten Alastor nakazał mi ją odnieść do świątyni Persefony, co jest w baratronie, i z powrotem mnie przywiódł; nie miałam woli własnej. Nawet już o niej nie marzyłam, lecz zapragnęłam zmienić pana, zmienić Alastora na Dyoniza. Przyjaciółka moja, kapłanka, poparła mój zamiar; razem poszliśmy na Pangej, na obchód świętej tryeterydy. I oto nastąpił dzień cudów. Z tyrsami i w nebrydach, obie popędziłyśmy tutaj; wszyscy ze czcią nam ustępowali, witając potężne bachantki, służebnice Dyoniza. Przybiegłyśmy do mej komnaty. Ianta, tak zwano przyjaciółkę, chwyciła Erynę, posadziła ją sobie na ramię i z powrotem w góry, w góry! I dziewczynka trzymała się mocno, z zachwytem chwytała wiatr maleńkiem swem ciałkiem i, śmiejąc się, klaskała w dłonie. Dobiegłyśmy do pustej chatki pastuszej; nikt za nami nie pogonił prócz stada przeróżnych ptaków; nawet razem z nami wleciały do izby. Ianta złożyła dziecko na podłodze i zaczęła się gorąco modlić, nachylając się nad niem, przyczem słowik swą pieśnią wtórował modlitwie. Było to niewypowiedziane cudne; zdawało się, że takiej modlitwie nikt

nie mógłby się oprzeć. I rzeczywiście, izbę zalało nagle różowe światło, otworzyły się drzwi i weszła niewiasta nadludzkiego wzrostu, cała w różach; podszedłszy do mej dziewczynki, podniosła ją i pocałowała. I dziewczeczka w odpowiedzi uśmiechnęła się tym cudnym uśmiechem, który i teraz widzisz na sennych jej ustach. Spojrzała i na nas okiem łaskawem: „Ciesz się, Afrodyto!“ wykrzyknęła Ianta, a potem znów poczęła się modlić! Afrodyta znikła, unosząc z sobą odblask różowy. Ianta wciąż modliła się, słowik rozelkał się jeszcze silniej, zachwyty potęgował się z każdą chwilą. I nagle napełniła izbę zorza złota, drzwi rozwarły się powtórnie, weszła Pallada, podniosła dziewczeczkę i pocałowała ją, dziewczeczka zaś spojrzała po raz pierwszy na nią tem głębokiem spojrzeniem swych oczu niebieskich, które już odtąd jej nie porzucało. Potem ostrożnie położyła dziecko, pożegnała nas skinieniem głowy i znikła. Ianta zerwała się na nogi. — „Ciesz się, Fillido, zawołała do mnie, córka twa wzrastać będzie pod błogosławieństwem dwóch bogiń!“ Chciałam już wziąć ją na ręce, gdy wtem...

— Gdy wtem?...

— Gdy wtem słowik-ptaszę przerwał swój śpiew i zatrzepotał przerażonemi skrzydełkami; pozostałe z żalonym piskiem rozbiegły się po kątach. Zgasło światło dzienne i wolno zaczęła się unosić jedna deska podłogi za drugą, z przepaści wyblysnęło krwawe światło, izba jakby zapłonęła z wewnątrz. I przy blasku tym z tejże przepaści wypłynęła postać cała w czerni o bladej i surowej twarzy. Nogi podcięły się pode mną,

upadłam i nie mogłam dojrzeć, co było dalej, lecz lanta widziała, jak bogini w czerni dotknęła czoła dziewczeczki, jak jej blade wargi poruszyły się, wyrzekły jakieś słowo — lecz słowa nie dosłyszała, gdyż zagłuszył je rozdzierający płacz Eryny. Na płacz jej i ja się zbudziłam, zerwałam się, chwyciłam ją — zjawą znikła, tylko jakiś cień pozostał na małym czółku i długo nie mogła się uspokoić dziewczeczka. Porzuciłam tyrs, i nebrydę, i wianek bluszczowy i jako zwykła kobieta wróciłam do domu z mem chorem dzieckiem na rękach. I od tego czasu nie znalazłam spokoju ani dniem, ani nocą.

Aglaodor zamyślił się.

— Powiedz mi jeszcze jedno, królewno. Pokazałaś Erynę jej ojcu?

— Naturalnie, przecież wówczas jeszcze nie wiedziałam...

— Jakże się wobec niej zachował?

— On? bardzo serdecznie; całował ją i हुआ, nazywał swoją wiosną. Ale to wszystko było tylko udane.

— Jesteś pewna tego?

— Czyż może być inaczej? Pieścił ją, a myślał o swej... giermkini.

Aglaodor z uznaniem skinął głową.

— A ona jak wobec niego?

— Ona? Także nieźle... Nawet się uśmiechnęła do niego. Tak, nawet matka moja się zdziwiła. Wszedł on wprost i przedewszystkiem pochwycił ją: „Radości ty moja, cudna moja“, mówił, „uśmiechnij że się choć raz do mnie!“ Myślałam, że się rozplacze, gdyż obawia się obcych, lecz ona popa-

trzyła nań niepewnie swemi niebieskimi oczętami, a potem naprawdę się uśmiechnęła. „To nadzwyczajne“, — rzekła wtenczas moja mama, — „wszystkich obcych się obawia, a do niego się uśmiecha“.

— Do czego to dochodzi udawanie — wycedził zwolna Aglaodor. — A więc, królewno, jesteś przekonana, że on nie kocha tej swojej córki?

— W zupełności przekonana.

— I dobrze robisz. O tobie niema co mówić: oszukał cię i znieważył w sposób niegodziwy. Naturalnie, przestałaś go po tem kochać?

Długo myślała Fillida, badawczo patrząc na proroka, potrząsnęła głową, znów popatrzyła na niego, potem jakiś cień przemknął po jej twarzy i odpowiedziała stanowczo.

— Rozumie się.

— Inaczej być nie może: powinnaś pamiętać, żeś jest kobietą i królewną. Pięknie powiedziałaś przedtem, że Dyoniza za pana wybierasz; słuchaj więc, co Dyonizos przez usta moje tobie rozkazuje. Niech imię Pandiona w twym domu nie będzie ani razu więcej wymówione; niechaj córka twoja nie dowie się, kto jest jej ojcem. Pandion zapomnieć musi o drodze w tę stronę, zapomnieć musi o tej niekochanej córce swojej; niech sobie utrzymuje choćby cały hufiec giermkin, lecz niema dlań żeglugi do Dziewięciu Dróg. A ty i Eryna odtąd będziecie służyć tylko Dyonizowi. Ręką moją przyjmuje on was do swego orszaku.

Podał jej rękę. Przypadła do niej i okrywała ją pocałunkami. Chciał natychmiast się z nią pożegnać, lecz ona, upewniwszy się, że dziecko twardo

spi, wyszła z nim, aby go odprowadzić do ogrodzenia pałacowego.

W tej samej chwili ptaszęta, które szczebiotały i ćwierkały w ogrodzie, wleciały do opustoszałej komnaty i otoczyły kołyskę; za niemi podążyli dwaj szanowni goście, sęp i sowa. Ptaszę-słowik zajęło miejsce na kotarze wrost nad główką dziecka.

— Ślepy ród śmiertelnych—poczęło ptaszę—
Wszyscy ją kochają i wszyscy jakby się zmówili przeciwko niej. Aglaodor wielkim będzie prorokiem, lecz jest jeszcze młody i niesłusznie sądzi, że Dyonizos zawsze przez jego usta przemawia. Bóg nieodłączny jest od dobra, a niema w tem nic dobrego, aby odbierać ojcu jego dziecię. A matka niesłusznie spędza swą winę na Alastora: sama powzięła swój szalony zamysł i za własną szła wolą, która wyodrębniła się od niej, gdy zardzość zburzyła jej rozum. Ochraniajmy więc krew Erechteusza, przyjaciele. My tylko kochamy ją, jak należy. Nie mogę sprawić tego, aby nas rozumiała: owa trawka była ostatnią. Lecz możemy rozweselać ją naszymi pieśniami oraz igraszkami, możemy ją upieścić, gdy straszny ów cień ukaże się znów na ślicznem czółku. Bądźmy wciąż koło niej, przyjaciele; da bóg, że swą miłością i pieśczętą zetrzemy pieczęć Persefony.

III.

Czas płynął i Eryna rosła.

Nikt w jej obecności nie wymawiał imienia Pandiona; zlecenia Aglaodora były święcie speł-

niane w domu królewskim. Lecz nikt również nie ważył się powiedzieć jej wprost, że ojciec umarł, gdy, powołując się na przykład innych dzieci, pytała, gdzie jest jej tata; zbywali ją wykrętnymi odpowiedziami i niedomówieniami. Dziecko, spostrzegając skrytość koło siebie, samo również nauczyło się skrytości; przestało się pytać, lecz wewnętrznie było przekonane, że ma tatę i że nie dziś, to jutro, tata się objawi. A pochodziła ta pewność stąd, że ptaszyna-słowik co noc śpiewała w ogrodzie pałacowym o świętych Atenach i o hali górskiej na Geranei megarskiej, skąd dobrowolny wygnaniec Pandion spojrzaniem błogosławi swej niedostępnej ojczyźnie, miastu Pallady i Erechteusza. Jej pieśń przeistaczała się w widzenie, i widzenie to, rozjaśnione najjaskrawszem światłem marzeń i pragnień, nawiedzało duszę dziewczki.

Czasami się jednak zdradzała. Raz, gdy zachorowała na febrę, w gorączce szukała ulgi u obrońcy swych nocnych widzeń: „Gdzie jest mój tata?“ pytała żałośnie, „ja przecież mam tatę!“ Innym razem, już zdrowa i wesola, nie odmówiła sobie przyjemności podrażnienia matki, proponując jej przechadzkę po Dziewięciu Drogach i „złowienie“ kogokolwiek, „abym miała tatę“. I gdy ta, żartem na żart odpowiadając, wyraziła swą gotowość, dziewczeczka, chytrze kiwając główką, odparła: „nie, tu nie da się złowić, należy jechać do Hellady i tam go schwytać!“ Wogóle miała rozum ponad swój wiek, tak iż Fillida niepokoiła się tym szybkim rozwojem i starała się raczej go powstrzymać, zapominając o tem, że inaczej rozwijają się ci,

których pocałowała Pallada. Dar drugiej bogini dawał się spostrzegać również — zachwycający uśmiech, któremu nikt się oprzeć nie mógł. Zato pieczęć fatalna trzeciej rzeczywiście jakby znikła: blask radości to głośniejszy, to cichejszy, nie schodził ze szlachetnego czoła córki Pandiona.

Fillida przestała się już obawiać i troskać szczęście swe przypisywała mądrości Aglaodora, nie zaś jego istotnej sprawczyni, śpiewaczce swego ogrodu. Jednakże zdarzenie nieoczekiwane przekonało ją, że na tryumf jeszcze jest zbyt wcześnie.

Stara królowa zachorzała — według wszelkich poszlak na swą chorobę ostatnią. W jej wieku było to zupełnie naturalne, lecz ubóstwiający ją lud nie chciał wierzyć, aby to nie było za sprawą wrogich czarów. A gdy raz zauważono koło pałacu czarownicę Zelrunę tajemniczo wezwaną w sprawie miłosnej przez jedną z dziewcząt dworskich, dla wszystkich stało się rzeczą jasną, że to właśnie ona sprowadza chorobę na królową. Całym tłumem przyprowadzono ją do przełożonego straży pałacowej; ten, widząc z twarzy ofiary, że zawiniła ona jeżeli nie to, to wiele innych sprawek, nie uważał za potrzebne niepokoić chorej i na swoją rękę zarządził, aby wiedźmę strącono do baratronu.

Lecz Zelruna nie chciała bez oporu pogodzić się ze swym losem. Prowadzona przez dwóch strażników do pałacu, gadała głośno, zapewniając o swej niewinności i, błogosławiąc królowę i jej rodzinę, wzywała wszystkich sił podziemnych na przełożonego i zbyt posłusznych mu żołnierzy

A kiedy zrównali się z pokojami królowy, nagle zawołała:

— Puście mnie do niej! Ona wie wszystko; puście albo będziecie odpowiadali przed królową i przed nią! Muszę jej powierzyć pewną tajemnicę; jeśli mnie nie puście, królowa umrze i będzie to z waszej winy.

Strażnicy zakłopotali się; już przedtem czuli się nieswojo wskutek przekleństw wymownej czarownicy, a teraz stracili głowę zupełnie. Pomówiwszy pomiędzy sobą, postanowili, że dwóch z nich odprowadzi ją do królowy.

Fillida swym zwyczajem przedła przy oknie swego pokoju; na stołku obok leżał jej koszyk roboczy z gotowymi motkami i nożyczkami; Eryna stała obok i uczyła się. Zelrunę poznała nie odrazu, lecz widok jej wzniecił dziwną trwogę w jej sercu. Ta ostatnia zresztą nie pozwoliła jej się długo namyślać: rzuciwszy się do jej nóg, poczęła namiętnie całować rąbek jej sukni.

— Ratuj mię, luba królowno! Oni chcą mię zgubić, choć wiedzą, że nic nie zawiniłam. Powinnaś mnie uratować; wspomnij, jak ja ciebie uratowałam tej nocy, między trupami w ba....

— Milcz! — krzyknęła na nią Fillida, czując, jak wszystka krew odpłynęła z jej serca. — Nie waż się wspominać o tem! Czego chcesz?

— Każ im wpierv odejść.

Na znak królowy strażnicy odeszli do swych towarzyszków. Wówczas czarownica, cokolwiek się uspokoiwszy, obszernie jej opowiedziała, jak to było.

— Cóż mogę dla ciebie zrobić?—spytała Fillida. — Chociaż cię każę uwolnić, lud w każdym razie cię rozszarpie.

— Każ mnie odprowadzić do portu. Pójdę na wygnanie; tutaj i tak nie mam nikogo, odkąd...

— Dokąd pójdziesz?

— W porcie stoi okręt ateński, on mnie odwiezie do Aten.

— Do Aten? czemuż koniecznie do Aten?

— Innego okrętu niema, a mnie wszystko jedno, dokąd jechać; moja sztuka przyda się wszędzie, — dodała z dumą.

Fillida, pomyślawszy trochę, przyzwalając kiwnęła głową — „byle tylko nie do Megary“, szepnęła do siebie.

Potem wyszła do strażników.

Ledwo zdążyła wyjść z komnaty, gdy Zelruna śpiesznie podeszła do Eryny.

— Radości moja, królewienko, co każesz powiedzieć swemu ojcu?

Eryna ze zdziwieniem wzniosła ku niej swe wielkie oczy niebieskie.

— Mojemu ojcu?

— Tak, ojcu twojemu, wielkiemu królowi boskich Aten. Oni tego nie wiedzą, lecz ja wiem i ty powinnaś wiedzieć. Ciesz się, śliczna moja, jesteś teraz królową ateńską. Lecz co mu powtórzyć od ciebie? Że pamiętasz o nim? że go kochasz? tak?

— Pamiętam... Kocham... rzecz prosta.

— Tak mu powiem; a jaki będzie szczęśliwy! Albo jeszcze lepiej... poczekaj chwilę.

Schwyciła nożyczki z koszyczka do robót Fil-

lidy i, zanim dziewczeczka mogła oprzytomnieć, odcięła jej pasmo wspaniałych jasnych włosów.

— Jaki rad będzie z tego podarunku — ciągnęła słodziutko dalej. — Przecież on cię bez pamięci kocha, ten twój ojciec. Lecz nie mów o tem nikomu, nie zdradź mnie. — A w myśli dodała: to złoto lepsze od wszelkiego innego!

— Zelruno, co ty robisz koło dziewczynki? Odejdź od niej!

— Chciałam się pożegnać z naszą radością powszechną, królewienką — urażonym głosem odrzekła czarownica. — Nie bądź tak surowa, szanowna królowno, byłam dotychczas poddaną twoją, teraz na starość będę wygnanką.

— W każdym razie oddał się.

Zelruna odsunęła się do koszyczka i niezłownie wsunęła weń nożyczki; promień włosów zdążyła przedtem schować pod koszulę. Wkrótce zjawił się przełożony straży. Położenie jego było kłopotliwe: z jednej strony wiedział, że gdy wypuści wiedźmę, a królowej się pogorszy, to on będzie winien; z drugiej strony, nie wypadało mu sprzeciwiać się królownie, która, być może, dziś, jutro sama królową zostanie. Doradził więc, aby do wieczora zatrzymać ją w więzieniu, a potem, z nastaniem ciemności, pod pewną strażą wyprawi ją na okręt ateński. Fillida się zgodziła; Zelruna rzuciła się znów całować kraj jej szaty.

— Dosyć, już dosyć! Szczęśliwej drogi!

Odwróciła się. Wiedźma podniosła się i obrzuciła obie tryumfującym, złowrogim wzrokiem.

— Będziesz pomszczona, córko moja!— zasy-
czała.

Lecz uwagę Fillidy pochłonął w zupełności
widok jej córki: patrzyła w dal z zadumą, a ślad
dawnego dotknięcia cieniem szerokim leżał na
pięknem jej czole.

— Eryno, co ci jest? Co ona z tobą zrobiła?
Mów!

— Cicho, matuniu, cicho! Czyż nie słyszysz?

W ogrodzie rozdzwonił się znów słowik.
Dzieweczka chciwie pieśń jego chłoneła.

— Ty, matuniu, nie wiesz, o kim on śpiewa?
A ja wiem... wiem.

IV.

Wrzawa dzikiego życia na Pangeju prze-
brzmiała wraz z jutrzeńką; gdy słońce się podnio-
sło, promienie jego smutny oświeciły obraz.

Pod urwiskiem na zielonej polanie leżała mło-
dziutka bachantka; nebryda okrywała jej ciało,
głowa jej spoczywała na tympanie, trochę dalej le-
żał jej tyrs. Jej sposób leżenia nie był takim, jaki
przybierają ludzie naturalnie, zasypiając; widocz-
nem było, że upadła i leżała tak, jak upadła.

Na dębie, który nad nią chwiał swą stuletnią
koroną, siedział sęp i sowa, oba ze współczuciem
i niepokojem patrzyły na nią i na ptaszynę-słowika,
która przywarła do jej białych ust. Wokoło tłu-
kło się z żalonym piskiem stado innych ptaków—
dużych i małych.

— Czy żywa?

— Myślę, że tak, Niktymeno, lecz dusza jej
jeszcze się nie skupiła w jej piersi. Straszny to był
upadek; widać święta nebryda błogosławionego
boga ją uratowała. Lecz jak się to stało? Byłaś
przecież przy tem.

— Byłam i mogę opowiedzieć. Lecz naprzód
chciałabym wiedzieć, jakim sposobem ona, taka je-
szcze dziewczynka, dostała się do korowodu menad.

— Nietrudno się tego dowiedzieć. Zawsze ją
otaczają nasi; jednego przy sobie zatrzyma, innego
zwolni, a na jego miejsce weźmie innego. Już ona
nas tak kocha, jak i my ją.

— Ptaki, kto z was był przy Córce wiosny
podczas ostatnich dni przed tryeterydą?

— Ja — odrzekła synogarlica.

— Opowiedz nam, jak dostała się ona do
korowodu.

— Było to na życzenie Aglaodora; wszak
królowna wszystkie jego życzenia poczytuje za pra-
wo. Nieodzowną jest rzeczą, powiedział on, już teraz
polecić ją łasce Dyoniza, aby mu w przyszłości
służyła gorliwie. W nebrydzie, w wianku bluszczo-
wym, z twarzączką, pałającą ze wzruszenia, była
tak cudna, że napatrzeć jej się dość nie było można.
Nie było takich objawień, których nie oczekiwała
by od nocy cudów! Uwolniła nas wszystkich naj-
pierw, a potem wzięła tyrs i w radosnem podnie-
ceniu pomknęła z matką w góry. Podążyliśmy za
nią, jak jeszcze pierwiej zleciła nam Prokne; lecz
co się stało nocą, tego już widzieć nie mogliśmy.

— Tu zaczyna się moje opowiadanie,—podjęła
Niktymena.—Uniesienie bachiczne opanowało Erynę

z siłą nadzwyczajną. Wkrótce starsze bachantki, a nawet matka straciły nad nią wszelką władzę. Z całej mocy czuła, że dusza jej oddzieliła się od niej i miejsce jej zajął sam Dyonizos w jej ciele. Wciąż dawały się słyszeć jej szalone okrzyki: w góry! naprzód, bachantki! naprzód, bachantki! Matka pozostała w tyle; Eryna rzuciła się do koro-
rowodu, pędzącego wdał, wzdłuż urwiska. „Czemu pędzicie strachliwie wzdłuż brzegu?”—zawołała do nich,—„czyż Dyonizos pożałuje skrzydeł dla wier-
nych swoich służebnic?” „Oszalałaś!”—odrzekła jej najstarsza.—„Rozumie się! wszak tego żąda Dyo-
nizos. Jesteście wszystkie nosicielkami tyrsów za-
ledwie, ja tylko jestem pośród was bachantką! Daj tutaj!” I przelożywszy w lewą rękę tyrs—
prawą wyrwała pochodnię z rąk starszej bachantki. Wyrwała i ze śmiechem pobiegła wprost na kra-
wędz urwiska. „Pędź, płomieniu Dyoniza!” wy-
krzyknęła wesoło, rzucając w przepaść pochodnię. Były to jej słowa ostatnie. Śladem pochodni i sama
skoczyła ze skały—i oto leży tutaj.

— Byłem ja przytem,—powiedział Gip—lecz
cóż mogłem począć? Dziada jej niegdyś uratowa-
łem od zguby, tu, na tym samym Pangeju; lecz
był on wówczas dzieckiem, a i ja byłem młodszy.

— Zaufała Dyonizowi—odrzekła Prokne;—
na cóż jej inni obrońcy? I wierny bóg jej nie za-
wiódł: przeniósł ją bezpiecznie drogami powie-
trznemi i złożył ją ostrożnie na wiernej piersi
matki-Ziemi. Nie straciła nawet przytomności; po-
prostu oczekuje na powrót duszy swojej z koro-
wodu błogosławionych. I boję się nie tego, lecz

o wiele bardziej czego innego. Aglaodor będzie
wielkim prorokiem, lecz tego nie wie, że obrzędy
Dyoniza, zbawienne dla innych, są trucizną dla niej.
Drodzy moi, podwójmy nasze zabiegi, śpiewajmy jej
i dniem i nocą o zielonej szacie matki-Ziemi i nie po-
zwólmy, aby myśli głębinowe opanowały jej duszę!

Zerwała się i pofrunęła na gałąź, na której
siedział Gip wraz z Niktymeną, i wkrótce stamtąd
popłynęła ku śpiącej głośna, niemilknąca, żalonna
a tryumfująca pieśń. I powoli poczęła się „skupiać
w piersi“ leżącej jej dusza.

Uniosła głowę, ze zdziwieniem popatrzyła
wokół—z początku uśmiechnęła się na chwilę, lecz
wkrótce zamyśliła się i głęboki cień, żywy ślad
dawnego dotknięcia, zasnuł jej czyste czoło.

— Więc to jest dusza—szepnęła jakby sama
ze sobą mówiąc.—Więc taka jest jej samoistność.
A skoro samoistność—to i nieśmiertelność. Czegoż
boją się ludzie? Chwała ci, Dyonizosie! Nauczy-
leś mnie wiele podczas tej nocy...

— Dyonizos, syn Semeli i Zeusa, i Dyonizos
pierworodny, syn Persefony... i obaj są jednym
boskiem jestestwem. Czemuż boją się ludzie Per-
sefony, skoro jest ona matką Dyoniza? Nie ro-
zumieją tajemnicy tych słów i dlatego się boją;
a ja rozumiem i dlatego się nie boję. Nie boję się
ciebie, Persefono, lecz kocham i bez zgrozy wy-
mawiam twe imię, jak córka imię matki. Kocham
cię, Persefono...

— Zapomnienie... cóż to jest zapomnienie?
Gdy żyję, jeden obraz wypiera drugi w mej świa-
domości, aby nowe mogły osiągnąć miejsce; stare

ustępują, ostatecznie zapadają w przepaść. To właśnie jest zapomnieniem. A skoro żyć przestanę, to nie będzie tej zmiany obrazów, i nie będzie zapomnienia. Wszystko, co dało mi życie, pozostanie w mem trwałem posiadaniu po wszystkie czasy, wszystkie myśli moje, wszystkie uczucia i wszystka miłość moja. Czemuż mam się obawiać śmierci? Śmierć— to pamięć wieczna, posiadanie wieczne tego, co mi jest drogie, wszystkich wartości mej duszy. Oto, co dał mi Dyonizos, jako dar matki swojej Persefony.

Złożyła znowu głowę na tympanie: spojrzenia jej, skierowane na niebo poprzez listowie dębu, wykryły sowę, sępa i ptaszynę-słowika. Ta rozśpiewała się jeszcze donośniej, pragnąc zagłuszyć swą pieśnią głębinowe myśli swej ulubienicy. Eryna uśmiechnęła się.

— Zdajes się, że się nie zgadzasz ze mną, droga moja; cóż robić, ja mimo to mam słuszość. Mówisz mi, że powinnam kochać matkę. Kocham ją, a więc pragnę kochać ją na wieki. Rozumiesz? na wieki. Czyż będzie tak, gdy będę długo żyć na ziemi? Zdaje się, mam tam braci, których nie znam jeszcze, a gdy poznam, to pewnie pokocham. A później będzie mąż, a jeszcze później—dzieci. I wyobrażenia będą wypierać się wzajemnie, i jedne będą naciskać na drugie, ostatecznie zaś strącone będą w przepaść. Matunia będzie strącona w przepaść! Czyż mogę pragnąć tego, skoro ją kocham? O tem ty mi zaśpiewaj, skoro się ze mną nie zgadzasz.

Lecz ptaszyna śpiewała swoje i pieśń jej pokonała wkońcu dowody młodej myślicielki. Pod-

niosła się, jeszcze raz rozejrzała się wkoło, podjęła tyrs swój. Tak miłośnie grzało ją słońko, koniki polne grały i ptaszyna boża tak żarliwie śpiewała tam na sęku między czcigodnymi postaciami sowy i sępa. Uśmiechnęła się Eryna.

— Hej, stara znajoma, i ty jesteś tutaj?

Chwyciła synogarlicę, która się nie broniła.

— Pobędziesz jeszcze u mnie, nie znudziło nam się,—rzekła jej.—Znajdzie się także miejsce i dla innych gości.

— Oto ona! Oto ona! — krzyknął czyjś głos radosny. Eryna poznała lantę, przyjaciółkę swej matki. Były one obie; lecz Fillida ani słowem, ani krzykiem nie zdradziła swego wzruszenia. Podeszła tylko do córki, długo, długo patrzyła jej w oczy i, objawszy ramieniem jej kibić, powiodła ją w dół potoku, ku Strymonowi i Dziewięciu Drogom. I nie puściła jej przez cały czas, tuląc ją do siebie, jak skarb, odnaleziony niespodzianie. I mimowoli nasuwało jej się pytanie: na ten raz zwrócono mi cię jeszcze, lecz co będzie następnym razem?

V.

Stara królowa umarła. Gdy krewni i dostojnicy zebrali się, aby rozstrzygnąć sprawę dziedzictwa tronu, nikt nie wspomniał imienia królowej Fillidy: została usunięta ogólnem milczeniem zebrania; nikt też nie zapytał o przyczyny, wszyscy i tak wiedzieli. Powołany został na tron najstarszy w rodzie Kotys, człowiek starotrackiego

pokroju, ojciec wielu synów. Przeniósłszy się do pałacu, przedewszystkiem odwiedził Fillidę i prosił, aby zachowała swe mieszkanie i służące, i aby uważała się za członka rodziny. Ta zgodziła się z wdzięcznością. Nie uważała za stosowne pytać o przyczyny swego usunięcia—nie były one dla niej tajemnicą.

Tym sposobem zewnątrz nic się nie zmieniło w życiu Fillidy i jej córki; wewnątrz też nic, jeżeli nie liczyć tego, że śmierć babki powiększyła jeszcze zadumę Eryny, zmuszając ją do stawiania matce i Aglaodorowi coraz nowych pytań co do stanu duszy po rozłącze jej z ciałem. Nie zawsze zadowalały ją ich odpowiedzi; chętnie im przeczyła lub też rozwijała dalej bieg ich myśli. Szczególniej przypadło jej do serca słowo Orfeusza, powtórzone jej przez Aglaodora: „sôma-sêma“, „ciało-grób“. „Zyjemy swą śmiercią, umrzemy zaś do swego życia“, kończyła. „Lecz jeżeli tak, to czemuż odrazu nie umieramy?“ Odpowiedzi Aglaodora wydawały jej się niedostateczne. Więcej oddziaływały na nią słowa matki, mówiącej o swoich do niej prawach. „Ciebie jedną mam tylko“, twierdziła, „co się ze mną stanie, gdy mnie porzuczisz?“ Wówczas ścisła ją, prosiła, aby jej przebaczyć szalony skok pangejski, i obiecywała, że nigdy go nie powtórzy. I Fillida była spokojna do następnego razu.

Lecz wkrótce zdarzyło się coś, co dało ich myślom nowy zupełnie kierunek.

Gdy raz siedziała sama przy kądzieli, Eryna zaś przechadzała się po ogrodzie pałacowym, do

jej komnaty, po oznajmieniu przez służebną, weszło troje ludzi: na przedzie herold ze swoją laską, za nim zaś dwie podstarzałe niewiasty poważnego wyglądu, wszyscy ubrani po helleńsku. Grzecznie skłoniwszy się królownie, rozpoczął herold swą przemowę:

— Już kilka lat temu Pandion, syn Kekropsa, najstarszy wnuk króla i bohatera Erechteusza, wdług polubownej z cioteczynym bratem Ionem umowy, zajął tron ateński, przyczem Ion, który dotąd rządził Atenami, oddalił się wraz z synami swemi do Grecji wyspiarskiej. Pierwsze lata zeszyły na ustaleniu nowej władzy i ukróceniu niezadowolonych; lecz teraz król Pandion czuje się dość pewnym siebie władcą tronu Erechteuszowego. Obok siebie ma czterech częściowo dorosłych, częściowo podrastających synów, podporę swojej władzy, lecz córki mu bogowie w małżeństwie jego z megarską królowną Piliją nie dali. Więc życzy sobie, abyście wraz z królowną Eryną — uznana jest za taką postanowieniem Areopagu i ludu—przesiedliły się obie do Aten, gdzie i dla ciebie przeznaczone jest odpowiednie godności twojej utrzymanie.

Fillida ze wzrastającym wzburzeniem słuchała jego przemowy i drżącymi ustami odpowiedziała:

— Wdzięczna jestem królowi Pandionowi za jego względy dla mnie i mej córki, lecz stanowczo nie mogę spełnić jego życzenia.

Herold, zmarszczywszy brwi, pomilczał chwilę, a potem cicho i stanowczo podjął:

— Być może wyraziłem się niedość jasno; pozwól mi przeto powtórzyć w krótkości moje

zlecenie. A więc król Pandion ateński wzywa do siebie swą uprawnioną córkę, ateńską królowną Erynę, zapewniając jednocześnie jej matce, jeżeli sobie tego życzyć będzie, zaszczytne przyjęcie w grodzie Pallady.

Fillida zbladła.

— Postanowienia Areopagu i ludowego zgromadzenia ateńskiego obowiązują w Atenach, lecz nasze miasto rządzi się swymi prawami trackimi, a według tych praw...

— Według tych praw — grzecznie wtrącił herold, jakby usprawiedliwiając się ruchem głowy przed królowną, że jej przerywa — według tych praw, obie z córką jesteście niewolnicami króla Kotysa. Do niego mam drugie zlecenie, z którym wołałbym się doń nie zwracać. Głosi ono tak: „król ateński Pandion ofiaruje ci wybór między wojną a sojuszem. Teraz po przyłączeniu Megary do Attyki w całej Helladzie niema potężniejszego nad nią mocarstwa; samej wieści o jego z tobą sojuszu wystarczy, aby utrzymać w posłuszeństwie trackie plemiona, które powstały przeciw tobie wzdłuż górnego Strymonu z miastem Drabeskim na czele. Z drugiej strony miasto Dziewięciu Dróg wygodnym jest miejscem do spożycowania kopalni złota na Pangeju, o czym dawno marzą Ateny. Lecz niech bogowie odwrócą wojnę między Ateńczykami, a ich dawnymi przyjaciółmi — Trakami! Za warunek sojuszu król kładzie zwrot swojej uprawnionej córki, krewnej twojej, Eryny“.

— Widzę — rzekła Fillida z uśmiechem goryczy — że król Pandion z korzyścią dla siebie spę-

dził tu czas, jako gość moich rodziców: miłość — miłością, a interes — interesem. Lecz w twojem drugim zleceniu jest mowa o samej tylko Erynie, a o matce się przemilcza?

— Tak, królowno. Nie żądać cudzego i nie oddawać swego, taka jest zasada królów ateńskich.

— Rozumiem: matka — to cudze, a córka — to swoje. Dobrze rozgraniczone...

— A więc, jak postanawiasz?

— Powiedz mi jeszcze jedno, heroldzie. Czy król Pandion nie zamierza, gdy przyjmę jego propozycję, odebrać mi moją córkę? Czy pozwoli nam podawanemu żyć razem?

— Królowa Pilija słynie z cnót wielu, które zapewniły jej miłość dawnych i nowych poddanych: jest ona godną następczynią miłych bogom królowych, Praksytei i Kreuzy. Nie myślę jednak, aby należała bardzo na umieszczenie pasierbicy w domu Erechteusza, choć przyjmie w nim gościnnie i ją i ciebie. A na stałe zamieszkanie wybrał wam król osobny dom w najlepszej dzielnicy miasta w pobliżu świątyni Afrodyty w Ogrodach.

— W takim razie, poddaję się. Kiedyż wypadnie mi odpłynąć?

— Jeśli król Kotys, do którego mam jeszcze jedno zlecenie, mnie nie zatrzyma, to w razie twojej zgody, jutro wieczorem podniesiemy kotwicę. Idę teraz do króla, a tymczasem pozwolę sobie oddać cię i królowną opiece dwóch obecnych tu obywateli ateńskich, które król przeznaczył do waszego orszaku. Jest to Teano, kapłanka naszej

Pallady akropolskiej, oraz Iona—kapłanka sąsiadującej z wami Afrodyty w Ogradach.

Tu po raz pierwszy ukazał się uśmiech na ustach Fillidy.

— Pallady i Afrodyty! — radośnie wykrzyknęła — obu bogiń, opiekunek mojej córki! Dobrze to król Pandion obmyślił. Pozdrawiam was, czci-godne!

Obie pocałowały Fillidę; herold odszedł za swoją sprawą, a między trzema pozostałymi poczęła się przyjacielska rozmowa. Fillida opowiedziała im, dlaczego nazwała obie boginie opiekunkami swej córki. W czasie tej rozmowy weszła ona sama: na ramieniu jej siedziała samiczka drozda, a w ręce trzymała małego drozdka, starając się rozgrzać go swoim oddechem. Przywitawszy się szybko z gośćmi, zwróciła się do matki.

— Pomyśl tylko, matusiu, co za szkoda: wypadł z gniazdeczka i potłukł się nieboraczek!

— Włóż go z powrotem do gniazdka, moje dziecko, jego matka już będzie wiedziała, co z nim począć.

— Nie, matusiu, stan jego jest beznadziejny: wypadł na kamień i rozbił się. Patrz, krew mu idzie z dziobka. Niedługo już pożyje!

Tymczasem obie Atenki zachwycaly się nią „Jaki miły uśmiech dziecięcy!” rzekła Iona. „I jakie cudne, głębokie spojrzenie“, dodała Teano.— „Tak, zadowolona będzie Pallada z takiej piastunki kosza podczas najbliższych Panatenejów. Ale skąd weźmiemy inne, tak wysmukłe jak ona?

Eryna, usłyszawszy te słowa, spojrzała pytająco na matkę.

— Jedziemy do Aten, moja córko; twój ojciec, król ateński, przysłał po ciebie... pò nas, chciałam powiedzieć. Winszuję ci, jesteś królowną ateńską. Lecz ciebie to, jak się zdaje, nie dziwi szczególniej?

Eryna zatroskana patrzyła na swe pisklę.

— Więc włożę je lepiej z powrotem w gniazdeczko: niech umiera pod pieczęcią matki.

I wyszła z komnaty, starając się ogrzać swym ciepłym oddechem nieszczęsnego skazańca.

Gdy weszła po raz drugi, Teano posadziła ją obok siebie.

— Widzę, że jesteś prawdziwą Atenką—rzekła z uśmiechem.— My także kochamy ptaki; opowiadają nawet, że dwie nasze królowny, Prokne i Filomela, siostry twego pradziada Erechteusza, zamienione zostały przez bogów w ptaki. I dotąd żyją one to u nas, to u was, jedna jako słowik, druga — jako jaskółka.

— Dotąd, powiadasz? Więc one są wieczne?

— Tak mówią, moja córko. Widzisz, oto już teraz zaczynam cię uczyć! A wiesz ty, że będziesz się musiała pilnie u mnie uczyć, gdy będziesz się przygotowywać do noszenia kosza naszej bogini?

— Chętnie, matko-kapłanko, i niechaj Pallada rozstrzygnie me wątpliwości. Oto, gdyś powiedziała mi o wieczności, aż oddech mi zaparło. Wyobraziłam sobie, coby było, gdyby bogowie mnie obdarzyli tym strasznym darem.

— A co byłoby?

Pożalowała swego pytania.

Jakby płomień ogarnął Erynę i poczęła szybko, bez zająknięcia, opisywać swój stan przypuszczalny—stan człowieka, który przeżył swych braci, potem swe dzieci, swych wnuków i nabiera przekonania, że doświadczył już wszystkiego, czego doznać można na ziemi, a wciąż ma przed sobą tę niepożyłą wieczność, której niczem zappełnić nie można.

Słuchano jej ze zdumieniem; słowa jej płynęły rozumnie i wymownie; czuło się, że nieraz już prze-myślała w sobie to wszystko, co teraz wypowiada swej słuchaczce.

Iona z troską pokiwała głową.

— Obawiam się — rzekła, zwracając się do Fillidy — że nie będę miała co robić z twoją córką. Skąd ma ona takie niedziewczęce myśli?

Fillida obraziła się. Cieszyła się, że córka, jak się zdawało, dobre na Atenkach sprawiła wrażenie, tembardziej, że nikt nie mógł jej posądzić o chęć popisania się; oczekiwała pochwały, nie zaś nagany od swych gości.

— Była w korowodach Dyoniza, — odrzekła sucho.

— Dyoniza... tak, rozumiem teraz. I rozumiem także, dlaczego król Ion, syn Apollina, zabronił u nas tych szalonych orgij, które się po raz pierwszy pojawiły za panowania jego ojczyma. Wprowadził je w miarkujące łożysko religii swego ojca—to też błogosławimy radosne dary łagodnego boga. Oby Pallada chroniła naszą królownę! Podziwiam ją, lecz obawiam się o nią.

— Jednak nie masz słuszności, ma córko, — rzekła Teano do Eryny, gdy ta skończyła: zapo-

minasz, że nieskończoności czasu odpowiada nieskończona podzielność czy rozciągłość naszej świadomości, że dlatego żadna skończoność niemożliwa jest dla nas. Lecz zdążymy pomówić o tem na Akropolu, gdy cię przedstawię naszej bogini. Zobaczysz, że powietrze naszych gór atenińskich łagodniejsze jest od powietrza Pangeju; nie-napróżno mniema się u nas, że na górach naszych wychowały Muzy złotowłosą Harmonję.

VI.

Nadeszło uroczyste święto Panatenejów. Nigdy jeszcze nie obchodziły go Ateny tak wspaniale, nigdy dotąd one same nie były tak potężne. Attyka była zjednoczona od Cyteronu do Sunjonu; z tamtej strony zatoki nazywała swoją — Eubeję południową, podbitą przez króla Iona, a sam Pandion, jako mąż następczyni tronu megarskiego Piliji, przyłączył do Attyki Megarę ze sporną wyspą Salaminą, kluczem zatoki Saronickiej, i z portem w drugiej, w Korynckiej zatoce, co otwierało cały Zachód nieprzejrzany marzeniom ateńskim. Jednocześnie Ion, wierny brat swego brata, rozszerzał potęgę ateńską na wyspy wschodnie i przemyślał już o przeprowieniu się na pobrzeżny pas Azji. Całą tę potęgę obecną i przyszłą chciał król ateński poświęcić swej bogini podczas tegoż święta. I kiedy myślał, że zadowolone spojrzenie tej bogini spocznie łaskawie wśród jej czcicieli na jego córce, to duma jego wzrastała jeszcze, i widział w niej, w tym kwiecie swej nadziei, jakby po-

średniczkę między Atenami a ich niebiańską orędowniczką.

Jednakże na tem niebie były chmury, tymczasem niewielkie, lecz ponure i groźne. Dzieci licznych synów owego Metyona, który już za króla Erechteusza był przywódcą rokoszan, same przez się stanowiły liczną partję i zapomocą wszelkich środków starały się powiększyć swą liczbę o tych, którzy z jakiegobądź powodu nieżyczliwie usposobieni byli dla króla Pandiona. Główną areną ich działalności była Mesogja, której większa część należała do nich; prócz tego mieli tajemną umowę z piratami z Lemnos, którzy mieli im oddać swe okręty dla napaści na Ateny od strony morza, a za swą przysługę mieli otrzymać część ziemi attyckiej u podnóża Hymettu. Można sobie wyobrazić z jakim uczuciem spotykali oni obchód Panatenejów i ich symbol prześliczny, królowę-kaneforę. Gdyby można było zaburzyć tę nienawistną uroczystość, lub choć złą wróżbą zamącić nastrój świąteczny!...

Jedna nieprzyjemność już była, lecz udało się ją przytłumić, nie donosząc królowi i nie przerażając nikogo. Gdy Teano weszła do namiotu na placu, gdzie przechowywane były święte kosze, zobaczyła tam staruchę z wyglądu nadzwyczaj wstrętną. A że ta nie mogła dać rozsądnej odpowiedzi na pytanie, co tam robi, więc kapłanka kazała ją schwytać i wyprawić do prythanów dla dalszego badania; tem zakończyła się sprawa.

Teraz święto było w całej pełni. Na skale Areopagu siedziały żony i córki Metyonidów, przy-

glądając się pochodowi, który je mijał, a potem wstępował po zboczu na Akropol. Ich zjadliwe uwagi sypały się na jego uczestników.

Tem radośniej usposobieni byli pozostali. Po danym przez herolda sygnale zapanowało obrzędowe milczenie, lecz nie nadługo. Nieskończone błogosławieństwa spotykały kroczące na czele dziewczki-arrefory, tak mile jaśniejące przed wszystkimi w swych białych szatach, haftowanych złotem. Z rzeczową lecz życzliwą krytyką przyglądały się niewiasty rozwiniętemu peplos, świątecznemu darowi dla bogini, za którym kroczyły jego biegle wykonawczynie, „ergastyny“. Wśród nich widzowie znajdowali wiele krewnych i znajomych i z ogólnego pochwalnego gwaru wyróżniały się chętnie powtarzane oddzielne pozdrowienia: „Witaj Alkandro!“ „Witaj Lizydiko!“ i t. d. Potem głosy umilkły, z uszanowaniem przepuszczono grono sędziwych starców z ich oliwkowemi gałązkami. Lecz potem hałas się ponawia i staje się coraz silniejszy: zjawia się nieprzejrany pochód pięknych mężczyzn, wiodących hekatombę, krowy i owce; towarzyszą im muzykanci, cytarzyści i fleciści. I znowu milknie gwar; zastępuje go hymn ku czci Ateny, prastara pieśń króla Pandiona Pierwszego:

Bądź pochwalona, córo Gromowładcy,
Władcy ziemian i bogów rodzica...

wielotysięczny tłum widzów podchwytuje święte dźwięki, które wlatują ku niebiosom... Rada będzie Władczyni, spoglądająca ze swego tronu niebieskiego na wierny lud swój. Potem nowa scena:

wesoły tętent niezliczonych koni: to młodzieńcy ateńscy, nadzieja kraju, harczą na dzielnych rumakach.

Zachwyty widzów dobiega szczytu. Lecz i ten obraz wkrótce nowy zastępuje: zjawia się piękny chłopiec w długiej odzieży z wielką gałęzią oliwki, okręconą wełnianymi taśmami, w ręku. Obwieszona jest figami, bułkami, oliwą i winem w dzbanuszkach, i nie wiedzieć czem jeszcze: wszystkie dary ziemi attyckiej powinny otrzymać błogosławieństwo bogini. Jest to tak zwana irezyona, a niesie ją Likos, najmłodszy syn króla.

— Rozumie się — złośliwie zauważyła Stratonika, żona najstarszego z rodu Metyonidów — i syna musiał przedstawić bogini, jakby to było jego domowe, nie zaś wszechateńskie święto!

— Na syna zgodziłabym się jeszcze — odparła Arata, jej swatka — chociaż Megarką jest jego matka, lecz zawsze to Hellenka. Ale że swoją córkę z tej trackiej czarownicy podsunął jako kaneforę, to już jest wprost świętokradztwo: i wcale mnie to nie zadziwi, jeżeli Władczyni miasta gniewnie odsunie podobną służebnicę.

— Co do czarownicy, to już przesadziłaś — wtrąciła staruszka, matka Stratoniki. — Ze szczepu barbarzyńców, z tem się zgadzam, lecz w każdym razie królewna, nie zaś czarownica.

— Zapewniam cię, zacna Klearysto, że jest to najczystsza prawda. Ta wiedźma, Zelruna, powiedziała mi o niej taką rzecz... obawiam się tylko pokalać nastrój uroczysty bogini, gdyż w przeciwnym razie szybko bym cię przekonała.

— A odkąd to miewasz stosunki z wiedźmami trackimi?

— Była mi potrzebna; a na co — o tem lepiej w tem miejscu nie mówić. Ani możesz sobie wyobrazić, jak była oburzona moja Melibeja, gdy zmuszono ją nieść koszyk razem z tą dziką Traczynką... Ale cyt, otóż idzie.

W istocie, pod skałą Areopagu ukazała się, witana życzliwym pogwarem, grupa kanefor, w strojnych szatach, obwieszonych złotymi ozdobami, ze złotymi koszyczkami na głowach. Na przedzie dwie: Eryna i Melibeja; król Pandion chciał okazać względy Metyonidom, zapraszając dziewczę z ich rodu, jako parę dla swojej córki, i zaproszona była bardzo rada w duszy, choć udawała obrażoną. Lecz w tej chwili nie było mowy o uczuciach, trzeba było urzędowo i z surową godnością nieść koszyczki Palladzie, a do tego trzeba było umiejętności i całej skupionej uwagi. Spojrzenia ludu ślizgały się po Melibeji i z miłością zatrzymywały się na Erynii; czuła to i na miłość powszechną odpowiadała uśmiechem — tym uśmiechem, którym obdarzyła ją Afrodyta.

U podnóża Akropolu kanefory zatrzymały się na krótko, aby odetchnąć przed wejściem na górę. Kobiety mogły im się przyjrzeć dowoli.

— Co to znaczy? — spytała nagle Klearysta — koszyczek Traczynki, jakby drgnął.

— Słusznie, nie chce mu się siedzieć na tej głowie — odrzekła Arata. — Zobaczmy zaraz coś więcej.

Koszyczek drgnął w istocie, lecz Eryna nie

spostrzegła tego. Nie zauważyła i tego, że pokrywka lekko się uchyliła i z pod niej poczęła wolno wysuwać się żmija — nie święta żmija Pallady, lecz zwykły gad, który dotąd leżał, snadź zaczarowany. Żmija wypełzła do połowy swego ciała, wijąc się naprawo i nalewo, potem odrzuciła się z powrotem i gotowa była skoczyć na pierś dziewczęcia.

— Widzicie? — tryumfalnie krzyknęła Arata — jawny gniew obrażonej bogini!

W chwili później krzyknęła jeszcze głośniej. Nie zdążyła skoczyć żmija, gdy z nieba, jak strzała, spuścił się sęp, chwycił ją za szyję i równie szybko uniósł się z powrotem na swe wysokości. Eryna się nie zlekła, gdyż poznała pangejskiego przyjaciela. Lecz Melibeja wydała pisk, zachnęła się w bok i upuściła swój koszyczek. Zawstydzona, zmuszona była pochód opuścić.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy umilkli: lecz milczenie trwało ledwo chwil kilka. Nastąpił po niem grzmot oklasków, okrzyków, pozdrowień.

— Stał się cud! Chwała Palladzie! Witaj Eryno! Niech żyje królowna! Niech żyje ulubienica bogini!

Eryna promieniała; serce jej biło, jakby miało wyskoczyć z piersi. Lecz nie zmieszała się: czuła, że teraz szczególniej zachować musi przytomność, aby pozostać godną łaski Pallady. Sama jedna, przed wszystkimi, poczęła wolno a wdzięcznie wstępować po wykutych w skale stopniach na górę świętą bogini.

VII.

Zelruna nie uniknęła swego losu. Prytanowie z łatwością ustalili za pomocą starannego śledztwa, że winną zamachu przeciwko królownie była ona. Prawda, że od pierwszych zaraz słów wskazywała ona na Aratę, lecz do tej trudno było dotrzeć. Z przybyszami zaś takimi, jak ta czarownica tracka, nie krępowano się zbytnio; następnego dnia odprowadzono ją już za Święte wrota i strącono do znajdującego się tam baratronu. Co się zaś tyczy Araty, ta porzuciła zawczasu Ateny i oddaliła się do Mesogji, gdzie rozwinęła zaciętą wprost działalność, nastrajając lud przeciw Pandionowi, dopóki nie osiągnęła oderwania się Mesogji. Ale to zdarzyło się dopiero później.

Teraz zaś jego szczęście wydawało się być bez chmurki. Córkę swą kochał aż do niepamięci, lecz pod tym względem całe Ateny miał po swojej stronie.

Cud Panatenejski zatarł wszelkie skazy, jakich dotąd dopatrzeć się było można w pochodzeniu Eryny: skoro tak jawnie sama Pallada przyjęła ją za córkę, przeto nie mogli od niej stronić obywatele. Nie było już mowy o „Traczyńce“: jedna przed drugą zapraszały ją do siebie żony magnatów, a przyjaciółki mogła wybierać w najlepszych rodzinach miasta. Dom Erechteusza już dawno stał przed nią otworem; królowa Pilija przyjmowała ją, jak córkę, królewicze, jak siostrę. Wesele, jak się zdawało, było nie za górami; atoli przedtem pragnęła użyć swobody dziewczęcej,

zwłaszcza, że wypadło powetować cały czas, strwożony poza Atenami. Nie spieszył się król Pandion z poświęceniem swej córki Demetrze Eleuzyńskiej; z opowiadań Fillidy i samej Eryny przekonał się, że lepiej duszę jej trzymać zdaleka od tamtego świata. Nowe przyjaciółki zapraszały ją do korowodów Artemidy; lecz w początkach zagarnęła ją przedewszystkiem sąsiadka, Afrodyta w Ogrodach, za pośrednictwem kapłanki swej Iony: nie było wątpliwości, że powinna była odwzajemnić się bogini za jej błogosławieństwo. Córę wiosny zaliczono więc w poczet dziewcząt, wielbiących Afrodytę w Ogrodach. Wesola była to służba: pieśni i tany, tany i pieśni, w przerwach rozmowy, zabawy, kwiaty — czoło dziewczęcia było wciąż jasne: cień dawny w całym okresie życia ateńskiego nie ukazał się na niem ani razu. Tak płynął czas od rana do wieczora, a nocą — miłe sny, wywoływane niemilkającą pieśnią nowego gościa Afrodyty w Ogrodach, ptaszyny-słowika z gajów Pangejskich.

Pandion nie mógł odmówić sobie tej przyjemności i po jesiennem całonocnem święcie Afrodyty, które dla Eryny było nowym tryumfem, wziął ją z sobą na Akropol do domu Erechteusza. Czekano tam na nią miękkie posłanie w zacisznej komnacie królowej Piliji; lecz tymczasem ani ona, ani też on nie czuli znużenia: po przejściu stadji z okładem wzdłuż brzegu szemrzącego Ilissu weszli do miasta przez bramę Dyomejską i wzdłuż ściany wstąpili na wzgórze Muz, tam gdzie one według legendy wyhodowały złotowłosą Harmonję, symbol przyszłego nastroju świętego grodu. Zorza

już rozpalala się na wschodzie; w jej blasku różowym wyraźnie widać było pagór Ardettu, przypominający porwanie Orytji, a jeszcze wyraźniej — święty Akropol.

Pandion stał na stopniach przybytku Muz, wieńczącego wierzchołek wzgórza; Eryna, wciąż jeszcze rozgorączkowana zachwytem nocy Afrodyty, stała przed nim. Czy własny rumieniec twarzy jej zalewał, czy też było to odbicie zorzy wschodzącej nad Ardettem? stała przed ojcem w całej krasie młodości, cudniejsza, niż kiedykolwiek dotąd. Patrzył na nią i przypomniła mu się jej matka, przypomniła się taka, jak niegdyś, o takiej samej zorzy, gdy stała przed nim w gaju Pangejskim... tylko wtenczas była wiosna, nie jesień.

Nie wytrzymał.

— Eryno, czy wiesz, czemu zawdzięczasz swe imię?

Popatrzyła nań swem uporczywem spojrzeniem, które tak dobrze znał i kochał: czuła, że za tem pytaniem nastąpi zwierzenie — nieodparte, nieuniknione zwierzenie, które zburzy ostatnią przegrodę między ojcem a córką. Czekala na nie od dawna i teraz właśnie była mu szczególniejszą radą.

— Wiem od matki — cicho odrzekła, — lecz chętnie z ust twoich usłyszę.

W powietrzu dał się słyszeć groźny pęd ciężkich skrzydeł; znajoma Pangejska sowa przyfrunęła z Akropolu i siadła nad głową króla na wysadzie świątyni Muz.

Uśmiechnęła się do niej Eryna swym dziecięcym uśmiechem, darem Afrodyty.

— Czyżbyś ją знаła?

— Jakżebym znać jej nie miała!— wesoło odrzekło dziewczę. I opowiedziała mu kolejno o swej ucieczce i swej przyjaźni ze wszystkimi ptakami Pangeju. „Przyjaźń ta trwa jeszcze dotąd, pierzaści goście Afrodyty w Ogrodach wszyscy co do jednego są mi znani, i nawet podejrzewam mocno, że wielu z nich przyleciało tu za mną z Dziewięciu Dróg. O niektórych wiem to napewno, na przykład o tej.

Sowa siedziała spokojnie, rada snadź z tego, że rozmowa inny przybrała kierunek. Lecz nad Ardetem ukazało się słońce i sowę począł ogarniać sen. Jeszcze raz poruszyła się niespokojnie, gdy Eryna, spojrzawszy na ojca, uśmiechnęła się doń wyczekując; lecz wkrótce potem skrzydła jej opadły bezradnie... zasnęła.

Pandion począł opowiadać o swym przyjeździe do Dziewięciu Dróg, o zapoznaniu się swem z Fillidą, o ich spotkaniach w wąwozie Pangejskim, o wszystkich czarach tej wiosnianej miłości w młodem państwie wiosny. Teraz przeżywał je powtórnie, po nocy, poświęconej Afrodycie, pod promieniami tego porannego słońca, które oświecało przepiękny, błogosławiony owoc tej miłości. Było coś jedyne w tem zwierzeniu, zwierzeniu ojca przed córką o tem, co dało jej życie.

Opowiadanie jego nie we wszystkim zgadzało się z tem, co wielokrotnie słyszała od matki; zdarzenia były te same, lecz oświetlenie ich miejscami inne. Dziewczę porównywało widać obie opowieści, jedną dopełniając drugą. Wynikło z tego coś jednolitego, krągłego, śmiałego, a jednocześnie,

pięknego. Więc z uśmiechem powtórzyła słowa, słyszane wielokrotnie od ojca—dumne słowa: „Na wyzynach niema grzechu“.

W uśmiechu jej, w łagodnem jej spojrzeniu dojrzał swe usprawiedliwienie; i z *tego* jej łatwo było usprawiedliwić go, gdyż było to warunkiem jej własnego życia. Pozostawała druga część zwierzenia, trudniejsza: o drugim przyjeździe i o... „giermkini“. Cóż tu było do powiedzenia? Przymus obowiązku, słowo dane bez zastanowienia... Jeżeli tamto usprawiedliwienie było rzeczą konieczności, to to mogło być tylko wolnym darem serca córki. Czy ma do tego serca prawo? Czy córka da mu to, czego odmówiła matka?

Opowiedział jej wszystko. I patrzył na nią w dalszym ciągu, nie puszczać jej ręki. Czuł, że teraz nadchodzi chwila stanowcza: chwila ta albo odbierze mu córkę, albo, jeśli wróci — to wróci nazawsze.

— Co powiesz, Eryno?

Popatrzyła nań swem znanem badawczem spojrzeniem, potem położyła mu ręce na ramionach i cicho rzekła:

— *Mój tato.*

Wszystka łaska góry w jej porannej świeżości jakdyby skupiła się w tych dwóch słowach i razem z niemi wstąpiła w duszę szczęśliwego ojca.

Pragnąłby, aby czas się wstrzymał! Tak, tego właśnie pragnął teraz, jak wielokrotnie później, gdy w nieuleczalnym smutku wspominał o tej szczęsnej, a niepowrotnej chwili swego życia.

— Gołąbko moja... córko moja.

Patrzyła na niego promiennemi oczyma. Jakżeż inaczej wyglądał on teraz taki, jaki był w rzeczywistości, w porównaniu z tem wyobrażeniem, jakie wytworzyła sobie niegdyś na podstawie opowiadań swej matki—wyobrażeniem ojca przypadkowego, niekochającego, władczonego i drapieżnego jastrzębia wśród niewinnych turkawek... Nie, nie zawsze jednak tak o nim mówiła; czasem i duma pewna wybijała się nawierzch; duma z ojca swego dziecięcia, kiedy inni nań napadali, a szczególnie Aglaodor. Lecz do zdarzenia z „giermkinią“ stosowała zawsze tę samą ocenę, która przeczyła tamtej drugiej. A teraz nie było sprzeczności, wszystko połączyło się w obraz kochającego, tkliwego, bezgranicznie oddanego swej córce ojca.

— Powiedz mi, tato — zająknęła się...

Czy nie weźmie jej pytania za oznakę zarozumiałości i pustki duchowej? Nie, to niemożliwe: w takiej chwili wyłączone są wszelkie złe myśli.

— Powiedz mi, ojczec... kto ci jest teraz najbliższy i najdroższy?

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w oba oczy.

— Kto mi najbliższy i najdroższy? Rozumie się, że ty, gołąbko moja. Czyliż nie czujesz tego?

Chciał ją znów pocałować — lecz zniewolony był ją puścić. Nagle zmieniła się, oczy nabrały jakiegoś obcego przerażonego wyrazu i głęboki cień pokrył jej marmurowe czoło.

— Dokąd-że mam iść?

— Co ci jest dziecię? Jakto, dokąd masz iść?

Rozumie się, że nigdzie, lecz pozostać masz ze mną... aż do nowego, szczęśliwego życia.

— Dlaczego mówisz mi: idź! idź!

— Kto mówi? Opamiętaj się! Córko, gołąbko moja!

— Idę przecież... Idę, idę, nie obawiaj się: dojdę do końca... To Ty jesteś? Myślałam, że to on, a to Ty. Tak, masz słuszość: służyłam jednej, służyłam drugiej, a teraz Tobie. Idę, idę: bierz mnie.

Odwróciła się od Pandiona i szybkimi krokami zaczęła zstępować ze wzgórza. Poszedł za nią, lecz wszystkie jego namowy i błagania, o ile dochodziły do jej świadomości, rozdrażniały ją tylko. Tak, los okrutnie zdrwił sobie z niego: w tej samej chwili, gdy sądził, że zwrócona mu jest nazawsze, została mu odjęta... nazawsze?

VIII.

U stóp wzgórza czekała na nią Fillida na wózku, zaprzężonym w parę mułów. „Dobrze, że cię znalazłam. Jedziemy do Faleronu. Na korynckim okręcie przyjechał Aglaodor“.

Nic nie odpowiadając, Eryna pozwoliła się usadowić obok matki. Pandion chciwie chwycił jej spojrzenie przez cały ten czas, szepcząc do niej: córko moja... gołąbko moja! W istocie spojrzała nań spojrzeniem długim i uporczywym, lecz nie tem znanem, dawnem, pieścotliwem. Z niem też zniknęła z oczu, obca, nie własna.

Fillida nieodrazu spostrzegła zmieniony na-

strój córki; cała pochłonięta była oczekiwaniem spotkaniem z Aglaodorem.

Natychmiast po przybyciu do Faleronu napisał do niej list. „Posłuchaj, co mi pisze: Siostrzo moja, myliliśmy się oboje. Apollo mnie oświecił: teraz stało się dla mnie zrozumiałem wiele, czego nie wiedziałem wcześniej. Chwała bogom, że jeszcze nic nie jest stracone. Gdy tylko otrzymasz ten list, przyjeżdżaj do Faleronu z Eryną“.

— Apollo oświecił tego, którego poprzednio natchnął Dyonizos, — ciągnęła Fillida. — Teraz już przeszedł on całą szkołę prorocstwa. Córko moja, możemy być dumne: przyjaciel nasz jest największym prorokiem Hellady.

Eryna słuchała jej z roztargnieniem.

— Apollo, Dyonizos — to przeszłość. Pallada, Afrodyta — to również przeszłość. Teraz jest Ona. Ona to — terażniejszość, przyszłość i wieczność.

Dopiero teraz zwróciła Fillida uwagę na zmianę, która zaszła w jej córce, na okropny cień, który poraz pierwszy po długiej przerwie, poraz pierwszy wogóle w Atenach, pokrył jej czoło.

— Eryno, co ci jest? Czy przez cały czas byłaś z ojcem? O czym rozmawialiście? Czy był dla ciebie surowy?

— On? Nie, raczej był serdeczny. Lecz było mi bardzo trudno znieść jego obecność i ledwie doczekałam się jego odejścia. Nie mówmy o nim: on też jest przeszłością.

— Nie kochasz go?

— Jego? Nie. Ja już nikogo nie kocham. Kochanie — to przeszłość.

Lzy rzuciły się do oczu Fillidy.

— A mnie? Eryno, czyż i mnie już nie kochasz?

— Ciebie? — Głos jej zadrżał; zdawało się, że dawna serdeczność czyni swe ostatnie przedśmiertne wysiłki, aby się jeszcze raz rozświetlić w tem stygnącym sercu.

— Ciebie, matuniu, kochałam, jak nikogo na świecie.

— Mówisz „kochałam“? A teraz? Teraz już nie kochasz?

— Teraz jesteś jedyną, którą znoszę. *Jeszcze znoszę.*

Tymczasem wózek dojechał do wrót Świętych i zagnała skrzył na drogę, wiodącą do Faleronu. Poganiacz, spostrzegłszy po rozmowie, że obie kobiety nie są Atenkami, uważał za stosowne dać im kilka objaśnień.

— Tu, nalewo, cudzoziemki, jest świątynia Nimf; zbudował ją król Erechteusz z powodu suszy, jedynej jaka była za jego błogosławionych rządów. Mówiąc dokładniej — przez wdzięczność dla Nimf za odwrócenie tej klęski. My, Ateńczycy, umiemy być wdzięczni i nikomu nie pozostajemy dłużni: ani bogom, ani ludziom. Lecz umiemy także karać bezbożników: tu, naprawo, jest straszne miejsce kary, baratron, a na dole, w samej skale — w pieczarze jest świątynia Persefony... obym tylko nie w złej godzinie ją wspomniał! Tu niedawno stracona została bezbożna czarownica tracka, która zrobiła zamach na życie naszej królowy, na do-

miar w oczach wszechwidzącej władczyni Pallady. Słyszaliście o tem, cudzoziemki?

Nie odbierając odpowiedzi na swoje pytanie, umilkł i machnąwszy biczem popędził muły po drodze do Faleronu.

Obie kobiety milczały również. Fillida popatrzyła z troską na córkę w tym czasie, gdy poganiacz opowiadał o losie Zelruny; lecz ta tylko rzuciła okiem obojętnie w kierunku jego ręki i zlekka kiwnęła głową.

Wkrótce powiało świeżością od morza; ukazał się port, zapełniony statkami ze wszystkich pobrzeży Hellady i bliskiej barbarji. Poganiacz poprowadził cudzoziemki do korynckiego działu wybrzeża; siedział tu na swym tobołku Aglaodor, czekając na nie.

Radośnie je obie przywitał; oczy jego jaśniały pragnieniem czynu.

— Bogowie, rzekł, zaszczytli mnie wielkiem zadaniem; odtąd ani jedna godzina mego życia nie należy już do mnie. Żniwo wprowadzie wielkie, ale robotników mało. Trzeba zbłąkanym wskazać drogę ich życia.

— Drogę dokąd? — smutnie spytała Eryna.

— Drogę do Dyoniza! Przez Apollina do Dyoniza. Dyonizos jest celem, a Apollo drogą; nie wiedziałem tego wcześniej, lecz wiem teraz. I wy, drogie moje, winnyście poznać to przeze mnie, wy, pierwsze uczennice mej dojrzałości, a poznawszy — rozpowszechnić tę wiedzę wśród ludzi. Czy chcecie? Chcesz tego, Fillido?

— Chcę! — odrzekła z uniesieniem.

— A ty, Eryno?

— Ja znam swą drogę—cicho odrzekło dziewczę. — Sôma, sêma. W tem tkwi cała prawda. Wszystko inne to obluda. Więc idę — idę.

Fillida poczęła błagać Aglaodora, aby z niemi jechał do Aten, ofiarując mu schronisko w swym domu w pobliżu Afrodyty w Ogrodach. Najęto muła z poganiaczem, który zabrał rzeczy Aglaodora, a sam prorok piechotą towarzyszył wózkowi, który wioził obie kobiety.

Siedząc ponownie obok matki, Eryna nagle się ożywiła. Nie zwracając uwagi na obecność Aglaodora, lecz zarazem starając się nie być przezeń słyszana, jęła przekonywać matkę, aby ta nie pozostała bez niej sama na świecie i aby jej nie zostawiła samej — tam...

— Byliśmy zawsze razem, i bądźmy zawsze razem. Wierz mi, mateczko, ja wyboru nie mam. Mam przed sobą dwie przepaści. Tu — przepaść życia i jej straszne męki piekielne. Mateczko, ty nie wiesz, jak cierpię, sił braknie, by to znieść. Tam — druga przepaść, a w niej zbawienie od mąk życia. A raczej jest w niej życie prawdziwe, bezbolesne, wieczne. Ona mnie tam wzywa, Ona — bogini czarna. Mnie i ciebie. Pójdźmy razem — do brze, mateczko? Ona woła, słyszę ją. I nie słyszę nic, poza Jej wołaniem. Słyszą, i idę, idę...

Wyjechali na tę równą przestrzeń, skąd po raz pierwszy otwiera się przed podróżnym, dążącym z Faleronu, widok na trzy wyniosłości ateńskie: Likabett, Akropol i wzgórze Muz.

Eryna pozdrowiła je ruchem ręki.

— Żegnaj, Pallado, żegnaj, pamięci o cudzie Panatenejskim! Nienadługo, o bogini, odnalazłaś swą kaneforę: woła ją inna, ta, która potężniejsza jest od ciebie. Żegnaj mi, wzgórze Muz, święte miejsce wyznania! Nienadługo, ojczy, odnalazłaś swą córkę. Mateczko, powiedz mu... Nie, nie powiesz mu nic; wszak nie opuścisz swej córki w jej drodze ostatniej. Byliśmy tu razem i tam będziemy razem...

Trzy wzgórze ukryły się za budynkami, których było coraz więcej w miarę tego, jak podjeżdżali do miasta. Zbliżało się południe, gorący wiatr z ładu podnosił gęste obłoki białego kurzu. Nie było nic widać.

Jeszcze jeden nagły zakręt — i za obłokiem białego kurzu ukazały się blade zarysy świątyni Nimf.

— Idę! idę!

Jak we śnie usłyszała Fillida obok siebie te słowa; miejsce, gdzie przed chwilą siedziała Eryna, było puste. Z głośnym krzykiem rzuciła się pędem wśród białego kurzu w tę stronę, gdzie ledwo widać było niknące widmo; Aglaodor za nią. Co zaszło potem, to i w następstwie było dla niej jakgdyby straszną marą senną. Grunt skalisty, trawa wypalona, ciernie czepiające się podołu jej szaty. Na przedzie widmo i krzyk głośny: Idę! Idę! Oto krawędź urwiska: rozpaczliwie chwytła swą córkę za rękę, Aglaodor, za drugą. Ta się wyrывa; kilka chwil walki okropnej. Nagle z przepaści wypływa drugie widmo, nadludzkiego wzrostu, postać niewieścia, cała w czerni, o twarzy bladej, suro-

wej. Wyciąga nad dziewczyną swoją białą rękę... walka skończona.

IX.

W cieniu cyprysów cmentarza Dypilońskiego nad grobowcem, którego syrena płacząca opiera się stopami o płytę z prostym napisem „Eryna, córka Pandiona“, siedzi dwoje ludzi, Aglaodor i Fillida. Ptaszyna-słowik dzwoni w gałęziach, lecz oni nie słuchają jej: rozmawiają z grabarzem, stojącym przed nimi w postawie pełnej szacunku.

— Ta złota kłamra z drogiemi kamieniami, dar królowny, odtąd jest twoją własnością — mówi mu Aglaodor — lecz przysięgnij za siebie, swoje dzieci i wnuków na Hermesa, Dyoniza i Persefonę, że codzień będziecie sypać po garści zboża na tę mogilę i gdy zlecą się ptaki, przemawiać: „pamięci królowny Eryny“.

Grabarz złożył żadaną przysięgę i odszedł. Wówczas dopiero Fillida zwróciła uwagę na nie-milknącą pieśń ptaszyny. Odchyliła głowę, starając się rozróżnić ją w zieleni cyprysów i cichym głosem zanuciła smutną ludową piosenkę, zasłyszanaś nigdy od Pandiona w owych beztróskich dniach trackich:

Powiedz święta, ptaszyno, — co tajnie znasz Afrodyty,
Powiedz, ptaszyno ma, w czym naszej miłości tkwi brzask?
„Pieśni, pieszczoty i radość — to ludzkiej miłości zaranie;
„Smutek, mogiła i żal — ludzkiej miłości to kres“.

— Nie kres! — gorąco zaprzeczył Aglaodor, — nie kres, lecz przeistoczenie. Dotąd miłość twa należała tylko do córki twojej; odtąd należeć win-

na do wszystkich, którym ciężko żyć na świecie. Im zanieść powinnaś wieść o wielkiem ukojeniu,—tajemnicę koła narodzin i zgonów i tajemnicę wybawienia z niego.

— Koła — w zamysleniu powtórzyła Fillida — dręczącego koła. Moja Eryna nieprędko osiągnie wybawienie: ona sama, wbrew przykazaniu Dyoniza, zniweczyła drogi, łączące jej duszę z jej ciałem grobem.

— Nie, nie sama: wezwała ją Persefona, której była oddana związaną od pierwszych dni swego życia ziemskiego.

— Oddana? Przez kogo?—ze zdziwieniem zapytała Fillida... lecz nie zażądała odpowiedzi, spótkawszy się z głębokiem, smutnem spojrzeniem Aglaodora.

Umilkli oboje; i znowu nie było słuchać nic, prócz pieśni ptaszyny-słowika w gałązkach cyprysu.

— Po co — zapytała Fillida — poruczyliśmy grabarzowi troskę o grób i o pamięć Eryny? Czyż myślisz, że Pandion zapomni o swej córce?

Aglaodor pokiwał głową.

— Zaszła już gwiazda Pandiona. Metyonidzi podnoszą wszędzie głowy. Mesogja się oderwała, Eubeja stracona, w Czworogrodziu też wybuchło powstanie; a do tego wszystkiego żeglarz koryncki, który nas bierze na swój statek, dowiedział się o oczekiwaniem najściu na Faleron floty piratów z Lemnos. A jeżeli i to nastąpi, to Pandion z synami będzie musiał wrócić do Megary. W innym czasie okazał by więcej oporu; — wnuk Erechteusza poza swemi osobistemi zaletami posiadał

miłość kraju. Lecz śmierć Eryny ugodziła go w serce...

Fillida opuściła głowę. „Żegnaj nazawsze!“ wyszeptła. „Pójdźmy, każde do swego dzieła!“

— Pójdźmy, siostró.

Wstali i zwolna skierowali się na drogę, wiodącą do Faleronu. Niebawem ucichł szmer ich kroków; cmentarz opustoszał i tylko ptaszyna-słowik dzwoniła dalej swą pieśń o nieszczęsnej miłości istot ziemskich, o radosnym jej poranku i o kresie jej we łzach, żalu i śmierci.

KRÓLOWA WICHUR

CZĘŚĆ I.

JASKINIA HARPIJ.

I.

Słońce trzeciego dnia, wpadając do świetlicy przez tłuszczem nasyczone płótno w oknie, oświecało bladą po dawnemu twarz młodego księcia Fineusza. U łoża jego czuwały kolejno, czekając aż się przebudzi, matka jego, cała czarno ubrana, stara księżna Amaga, oraz nieznajoma, podająca się sama za zbawczynię młodzieńca, krasawica Idaja.

Krasawica — tak, można ją było tak nazwać: krasa biła z jej młodej postaci, tylko oczy dziwnie kołące psuły ogólne wrażenie jej lic. Nawet księżna stara czuła się nieswojo, gdy, niespodzianie na nią spojrzawszy, dostrzegła utkwione w sobie dwie strzały jej wzroku.

Teraz siedziały one razem u wezglowia chorego. Idaja po raz dziesiąty, na życzenie księżnej, opowiadała jej o tem, jak ocaliła Fineusza od śmierci niechybnej na dnie topieliska. Lecz tym razem głębokie westchnienie młodego księcia przerwało jej opowiadanie.

— Budzi się — szepnęła z pociechą księżna. Istotnie, Fineusz poruszył się. Westchnął, nabral w płuca ciężkiego powietrza świetlicy, obarczonego gryzącym odorem dymu z sąsiedniej komnaty i jeszcze bardziej gryzącym — pomiotu końskiego, którym, gwoli zachowania ciepła, otoczony był, z uwagi na porę zimową, dom cały.

— Poznaję po tym odorze obmierzłym, że jestem w domu, — rzekł otwierając oczy. — Jak się masz, matko? A to kto? — spytał, spostrzegłszy Idaję.

— Jakto? Nie poznajesz jej? To twoja ratownicza, synu, i...

— A gdzież ona mogła mię ratować?

— Nie pamiętasz, jak zabrnąłeś w samo topielisko? Widocznie, słaby lód wiosenny nie strzymał ciebie. Tam właśnie cię znalazła, już nieprzytomnego.

— Nie pamiętam. Ale któż mię tu przyniósł?

— Właśnie też ona.

— Ona, kobieta, i sama jedna?

— Nienapróżno jest polanicą, córką księcia Tudala, tam z poza dziesiątego lasu.

Idaja, nic nie mówiąc, chwyciła posłanie i przemieściła je, wraz z chorym, pod białe okno.

— I tam, na polanie, już była doprowadziła cię do przytomności. Podniosłeś powieki, uśmiechnąłeś się do niej i rzekłeś: „Wesele moje, oblubienico moja, jakże kocham ciebie!“ I tego nie pamiętasz?

— Nie, to ja pamiętam... Te słowa rzeczywiście wyrzekłem. Ale czy do niej?

— A do kogóż? — spytała ze zdziwieniem Amaga. — I wogóle gdzieżeś to spędził te siedem dni?

Idaja nie spuszczała z młodego księcia kolących swoich oczu — i wydawało mu się, że pod wpływem jej przenikliwego wzroku wszystkie nici w jego świadomości plączą się i rwą. Podźwignąwszy się zlekka, usiłował coś sobie przypomnieć, lecz wprędce, znużony, opadł bez sił.

— Nic przypomnieć sobie nie mogę, — rzekł posepnie. — Ale słowa te istotnie wyrzekłem.

— A więc widzisz, — ozwała się Amaga. — Przyjęłam ją też w dom swój, jako twoją narzeczoną, a swoją córkę. Dla nas związek z księciem Tudalem będzie i korzyścią i zaszczytem, o niczem lepszem niepodobnaby marzyć. A co do urody, sam widzisz. Ale mógłbyś, przynajmniej, rękę jej podać.

Lecz Fineusz nie śpieszył się. Wciąż jeszcze usiłował coś sobie przypomnieć.

— Zdaje mi się, — rzekł, — iżbym snadniej wątek swoich myśli odnalazł, gdyby ona tak pilnie na mnie nie patrzyła.

Idaja, jakby słów tych nie słysząc, jeszcze głębiej utkwiała weń ostre swe wejrzenie. I, rzeczywiście, po krótkiej walce młody książę się poddał.

— Cóż, skoro narzeczona, niech będzie narzeczona, — rzekł bezsilnie. — Niech tak będzie. Oto moja ręka.

— Na dworze księcia Tudala młodzież bywa uprzejmiejsza — rzekła Idaja. Jednakże wyciągnęła rękę, aby ucisnąć dłoń Fineusza, gdy wtem hałas ogłuszający, jaki się rozległ z podniebia, sprawił, że odskoczyła w samą głąb świetlicy.

II.

Zadudniło, zahuczało, rzekłbyś od wielu setek głosów dziewiczych i roześmianych, i płaczących, i tryumfalnych. A jednocześnie w huku tym dźwięczały jakieś odgłosy groźne, niby szczepek żelaza, niby dzwony, niby stłumiony chychot potęg podziemnych. Coraz niżej, coraz bliżej.

Radośnie zalsniły oczy Fineusza.

— Poznaje, przypominam, — zawołał w zachwycie, — jest to królowa Wichur!

— Atenka, — gniewnie syknęła Idaja.

— Królowa Wichur! A wraz z nią jej córka— moje wesele, moje kochanie! O, teraz przypomniałem sobie! Matko, posłuchaj: wszak jam był tam, u króla Gór. U niego właśnie te siedem dni spędziłem. Było to nieustające upojenie, gody małżeńskie młodego księcia Fineusza i królowy Kleopatry. I one, białe, tańczyły na weselu, Wichury niebieskie, towarzyszki mojej oblubienicy. A potem odszedłem, aby przygotować swój dwór na przyjęcie nowej księżny. Matko, ty mnie nie słuchasz?

Amaga słuchała, ale niechętnie, i twarz jej stawała się coraz mroczniejsza i surowsza.

— Odkąd w pałacu króla Gór zamieszkała ta Atenka, wszystko się u nas odmieniło: inaczej ludzie budują i pracują, inaczej śpiewają i kochają. Jedynie u księcia Tudala i u nas zachowały się obyczaje przodków. Cóż będzie teraz?.. Lecz przerywałam ci twe opowiadanie. Jakże jednak wpadłeś w topielisko?

— Co za topielisko? — z oburzeniem odparł Fineusz.— Idę sobie lasem, a przed oczyma ciągle widzę ją, tę cudną. I, oczywiście, zbłądziłem. Tymczasem zapadł zmrok, w lesie coraz czarniej. W tem—skała, a w niej jaskinia. Wchodzę—i odskakuję z powrotem: taki w niej panował odór duszący i wstrętny. Ze sklepienia zwieszały się jakieś kłęby, niby nietoperze śpiące, ale czerwone. Krzyknąłem: „Kto tam, wychodź!“ I widzę, kłęby zadygotały, rozpostarły skrzydła czerwone i wszystkie na mnie. Wtedy dopiero zrozumiałem, że mam przed sobą jaskinię Harpij, ale już było zapóźno: otoczyły mię, nie miałem gdzie uciekać. Dusząc się od smrodu, upadłem. I jeżeli córka Tudala mię ocaliła, to właśnie od Harpij, i za to jestem jej wdzięczny. Ale gdzież ona?

Tymczasem, odgłosy niebieskie, opuszczając się coraz niżej, jęły rozlegać się u samego domu. Poryw wiatru zdarł płótno z okna, i oczom młodego księcia ukazał się boski obraz. Wichury zrzuciły ze siebie swe białe opony; kwitnące i rumiane, ze skrzydłami motylów, opasały rydwan swej królowej. Przez okno otwarte buchnął do świetlicy upajający zapach róż. A zarazem przeistoczyła się sama świetlica: niskie ściany urosły w górę, okno zamieniło się w wysokie drzwi, wszystko dokoła zakwitło, zazieleniało. Oto Wichury odstały od rydwanu, zaprzężonego w dwa skrzydlate rumaki, zstały zeń dwie kobiety urody niesłychanej, jedna starsza z pochodnią w rękę, druga młodzianka. Weszły do świetlicy, która przeistoczyła się tymczasem we wspaniałą komnatę kró-

lewską. Fineusz rzucił się naprzeciwko młodszej, wciąż powtarzając w upojeniu szczęścia: „Kochanie moje, wesele moje!” Starsza podeszła do księżnej Amagi:

— Ciesz się, świekro, i wybacz, że sprawiliśmy tam gody bez ciebie; taka była wola króla Gór.

Księżna nisko pokłoniła się królowej, nie przyjmując jednakże jej ręki.

— Wola króla Gór jest święta dla jego niewolników.

— Mylisz się, Amago, — surowo odparła królowa, — niewolnictwa niema wśród obywateli, jak i pośród was; wolność jest wianem, które wam przyniosłam z boskich Aten. I jeśli wydałam swą Kleopatę za twego syna, to właśnie dlatego, aby i stąd przepędzić Harpje niewoli, aby i w tym ostatnim ich schronie zajaśniała wolność i jej dobrodziejstwa.

Poczem, przeszedłszy okok księżnej, zbliżyła się do ogniska, na którym leżały nagromadzone już z wieczora drwa, i zapaliła je swą pochodnią. Przywołała do siebie Fineusza i Kleopatę.

— Córko moja, — rzekła do panny młodej, — niechaj wraz z tym ogniem, przyniesionym z twego ogniska domowego, przejdzie do twej nowej siedziby zarazem i to wszystko dobre, coś w domu swym poznała. Odtąd nie będziesz bawić się już z mojami boginkami: czeka tu na ciebie czyn — jaki, to sama wiesz. Fineuszu i Kleopatro, podajcie sobie ręce przed płomieniem waszego ogniska, i bacście, aby nigdy odtąd płomień ten nie zagaśł.

Młodzi spełnili zlecenie królowej.

W tej chwili Idaja z czerwoną od złości twarzą rzuciła się między nich.

— To być nie może, — krzyknęła — ja tu będę panią, nie ty! Uchodź stąd, Atenko! Co tobie do nas?

Lecz królowa, zerwawszy różę ze swego wieńca, rzuciła we współzawodnicę. Ta zaskowyczała z bólu, zwinęła się w sobie, i — co się z nią potem stało, nikt już dokładnie przypomnieć sobie nie mógł. Ktoś z czeladzi zapewniał następnie, że widział, jak, zamieniwszy się w czerwonego nietoperza, wyfrunęła przez otwarte drzwi.

W ogrodzie zaś rozbrzmiewała pieśń Hymenu z ust uwijających się w nim Wichur. Brzmiała długo, potem nastąpiły płasy, potem znowu pieśń. I dopiero, gdy słońce jęło zachodzić, królowa, pożegnawszy młodych, wróciła sama do swego rydwanu. Natychmiast otoczyły ją Wichury, znów rozległ się znajomy odgłos, przeplatany okrzykami: „Hymen, Hymen“ — i niebawem wszystko, jak sen, znikło w blasku zorzy wieczornej.

III.

Upłynęło lat dziesięć.

W poranek zimowy staruszka w czarnym odzieniu ostrożnie posuwała się na wózku dwukółowym wśród błotnistego lasu. Szła w kierunku najgłębszego ostępu, i zatrzymała się u wejścia do rozległej, lecz niskiej jaskini.

Zdjęła z wózka kosze z chlebem, mięsem i winem i wniosła je do jaskini, o flę pozwalając jej

na to nieznośny smród, wypełniający wnętrze. Potem znów wróciła ku wejściu.

— Potężne Harpje,—rzekła, modlitewnie podnosząc ręce,—raczcie przyjąć moje dary i pomóżcie mi w mojem nieszczęściu.

Jaskinia ożywiła się w mnieniu oka. Szpetne kłęby czerwone, zwisające tam i sam u sklepienia, przybrawszy postać olbrzymich nietoperzy, zleciały się, poczuwszy świeżą żywność, i jęły skwapliwie jeść i pić.

Staruszka przeczekala chwilę, poczem powtórzyła swą modlitwę.

— Późno przypomniałaś sobie o nas, czarna księżno,—ozwała się najstarsza z Harpij.—Miesiąc jeszcze lub dwa—i jużbyś nas nie znalazła tutaj. Synowa twoja ze swojemi Wichurami zamierza wiosną tego roku wykonać dawne życzenie swoje i swej matki i przepędzić nas na koniec świata. Więcej teraz o własnej myśleć musimy niedoli, niż o cudzej.

— Przeciwno niej to właśnie przychodzę prosić was o pomoc.

— Ty, przeciwno niej?

Długo lamentowała przed niemi staruszka; gdy skończyła, zapanowała cisza głęboka. Harpje cicho coś szeptały między sobą; wreszcie najstarsza zwróciła się do przybyłej:

— Zgadzamy się pomóc tobie, czarna księżno. Nie wracaj do domu; udaj się stokiem gór, na prawo, potem odrazu weź się na lewo: znajdziesz dom nowy, w którym zamieszkiwał leśnik, przez syna twego osadzony, dopókiśmy go nie wygnali

Dom stoi nad przepaścią, mającą połączenie z naszą jaskinią, o czem syn twój nie wiedział. W domu tym musisz zamieszkać: będzie ci tam usługiwała... ale dość, sama zobaczysz. Dziękujemy za dary; bądź zdrowa.

To rzekłszy, frunęła pod sklepienie i zwinawszy się w kłębek, uwiesiła się pod niem; pozostałe poszły za jej przykładem. Stara księżna siadła na wózek i popędziła konia po wskazanej sobie drodze.

IV.

— Pani, przed domem stoją, prosząc o gościnę, dwaj młodzieńcy, sądząc z ubrania, Hellenowie.

— Powiedz im, że proszę, aby udali się gdzieindziej; księżę bawi na łowach już od kilku dni, stara księżna także nie wróciła jeszcze, mnie zaś nie wypada pod nieobecność męża i świekry przyjmować młodzieńców.

— Ja im to już mówiłam, lecz oni nalegają, abys sama do nich wyszła.

Kleopatra zaodziała się szalem i, poleciwszy dwu swoim służebnym iść za sobą, wyszła ku cudzoziemcom. Chciała było powtórzyć im to, co rzekła przed chwilą, ale uroda obu młodzieńców mimowoli ją oczarowała.

— Kto jesteście, cudzoziemcy? Szczęśliwa matka, co was na świat wydała!

Zamiast odpowiedzi, obaj wesolo się roześmieli. Kleopatra nachmurzyła się. Widząc to, starszy odpowiedział jej po helleńsku:

— O wiele szczęśliwsza jest dzięki temu, że wydała także na świat i ciebie, siostró, nie poznająca braci rodzonych!

Twarz Kleopatry rozjaśniła się natychmiast.

— Kalais, Zetes! A więc to wy jesteście? Nareszcie odwiedziliście siostrę. Dziesięć lat nie widzieliśmy się. A jak wyrosliście! I jak wypięknieli! Ale odkądże to popisujecie się helleńskim obyczajem? Nie bardzo to lubią miejscowi.

— Ileż pytań naraz! Pozwól odpowiadać na nie po kolei. Nie mogliśmy odwiedzić cię wcześniej, gdyż za wolą matki naszej wprowadzaliśmy prawa ludzkie w innych księstwach Scytji, równie jak i ty tutaj w nadmorskiem. A ubraliśmy się po helleńsku dlatego, że lecimy do Hellenów. I tutaj wstąpiliśmy tylko, aby pożegnać się z tobą, ze szwagrem i z siostrzanami.

— Lecicie do Hellenów? Po co?

— Siostró, a słyszałaś o Argonautach?

I opowiedzieli jej, jak pacholę Friksos, ratując się od złej macochy, na baranku złotorunym uleciał do dalekiej Kolchidy, której król Ajetes stał się, dzięki temu, panem runa; jak napastnik Pelias pozabawił tronu króla Iolkskiego Ezona; jak syn pokrzywdzonego, Jazon, wracając do ojczyzny od wychowawcy swego Chirona, zdołał pozyskać łaskę Hery; jak Pelias zgodził się zwrócić mu królestwo ojcowskie pod warunkiem, że ten naprzód przyniesie mu złote runo; jak Jazon, zbudowawszy dzięki względom Hery cudowny okręt Argo, zwołał największych witeziów Hellady, aby udać się w pierwszą żeglugę daleką — do złotej Kolchidy.

Kleopatra, która przez cały czas słuchała go uważnie, podwoiła uwagę, skoro zaczął mówić o Herze.

— Musicie wiedzieć — rzekła do braci — że Królowa Niebieska jest stałą opiekunką naszego rodu. Na jej rękach ujrzała światło matka nasza; ona również pobłogosławiła jej ślub z Królem Gór, Boreaszem; ona nawiedziła ją w dzień moich narodzin. Opowiedzcie dokładnie, jak ukazała się ona Jazonowi.

— Powracał do ojczyzny — zaczął Kalais — nagle widzi po drodze strumień górski; nad brzegiem siedzi staruszka: biała odzież, biała chusta, twarz w zmarszczkach, lecz oczy wielkie przednym blaskiem płoną. „Jazonie“, powiada, „przenieś mię przez strumień“. Chiron uczy stałe swych wychowańców szacunku dla starszych; Jazon wziął nieznaną na plecy i przeniósł przez strumień, przyczem jeden jego sandał uwiązał w mule. Na drugim brzegu ją zszadził; ona zaś rzekła: „Za usługę tę nagrodi ci Hera, Królowa Niebios“. Rzekła i znikła. Peliasowi zaś oznajmiła wyrocznię, aby strzegł się człowieka półobutego; ujrawszy Jazona w jednym sandale, zrozumiał, że odeń grozi mu niebezpieczeństwo, i postanowił go zgładzić. Lecz Jazon nie zginie, owszem, okryje się sławą nieśmiertelną, i wstyd będzie miastu, które udziału nie weźmie w wyprawie Argonautów. Ateny nie mogą, tam są obecnie zamieszki. Otóż my, jako Ateńczycy po kądzieli, postanowiliśmy walczyć o honor miasta Pallady, i przychodzimy, aby po-

żegnać się z tobą i uściskać swoich siostrzeńców. Ale gdzież oni są?

— Biegają właśnie po lesie... lecz nie, w tej chwili wracają. Pleksypie, Pandionie, chodźcie tutaj.

Malcy weszli, przywitani się z wielką powagą z wujami, lecz widać było, że główki zajęte są czem innym. Pzy pierwszej sposobności starszy ozwał się:

— Mateczko, a my mamy fujarkę-pieśniarkę.

— Co takiego?

— Fujarkę-pieśniarkę. I ciągle jedną tylko piosenkę śpiewa, żalną taką. Posłuchaj!

Wydobył z pod chitoniku fujarkę z kory brzostowej, z ustnikiem bursztynowym, wiszącą na złotym łańcuszku, i począł grać na niej. Fujarka zaśpiewała:

Ah, któż pożałuje nas biedne sieroty?
Nie dla nas łśni zachód, nie dla nas wschód złoty.
W dom obca wtargnęła: my żyjemy w pomrocy,
Od chwili, gdy igła lysnęła nam w oczy.

W loch ciemny wtrącono, ah! matkę nieboge,
Nad ojcem się pastwią potwory złowrogie.
Nie dla nas łśni zachód, nie dla nas wschód złoty.
O, morze! O, ziemio! ratujcie sieroty.

Serce Kleopatry ścisnęło się boleśnie.

— Skąd masz tę fujarkę?

— Posłuchaj. Biegamy z bratem po gaju; aż tu widzimy, siedzi sobie na pniaku staruszka, taka miła; ubrana biało, w białej chuście, twarz w zmarszczkach, ale oczy duże, cudownym blaskiem płoną... Kleopatra zamieniła spojrzenia z braćmi.

— „Oh, powiada, nie mam sił więcej. Dzieteczki miłe, dajcie mi się napić“. Potok był niedaleko; pobiegliśmy z bratem. „A w co nabierzemy wody?“ — pyta Pandion. „A patrz, w to“, — odpowiadam; zrywam płacę kory brzostowej i zwiżam nakształt tutki. Przynieśliśmy. Napiła się, spogląda na tutkę. „Dobrześ ją, powiada, zmajstrował; a co umiesz jeszcze robić z brzostu?“ „U nas, powiadam, łapcie z niej plotą, ale ja nie potrafię“. „A fujarkę, pyta, umiesz wykręcić!“ „Nie“ — powiadam. I, oto, bierze mój wycinek kory, odrywa kawałek, zwiżają w trąbkę, przymocowują z obu stron, co należy, dobywszy ze swej torebki: „Masz, powiada, gotowa, możesz zagrać“. Zagrałem; ja gram, a fujarka sama śpiewa. Staruszka zaś, wciąż patrzy na mnie, a łzy kręcą się w jej oczach. „Strzeż jej, powiada, jak źrenicy oka... nie, więcej, niż źrenicy oka“. I powtórzyła zwolna „Więcej, niż źrenicy oka“. Wyjęła z tejże torebki złoty łańcuszek, przytwierdziła go do fujarki, sama zawiesiła mi ją na szyi. „Bądźcie zdrowi“, powiada, — i pocałowała nas obu. I tak nam słodko zrobiło się po jej pocałunku, tak słodko.

Umilkł. Wszyscy milczeli.

— Jednakowoż, rzekł Kalais, komu w drogę, temu czas. Musimy iść, a raczej lecieć, skoro jesteśmy Boreadzi. Żegnaj, Kleopatro; żegnajcie, dzieci.

Wycalował je i wyszedł. Dzieci, z ciekawością nań patrząc, wyszły za nim.

Kleopatra stała, jakby w oniemiaeniu. Widząc

że i drugi brat zamierza ją opuścić, błagalnie wzniosła ku niemu ręce:

— Kochany, drogi, nie odchodź. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje; zda się, jakgdyby kto duszę ze mnie wyciągał.

— Nie lękaj się, Kleopatro. Iść muszę, ale nienadługo, spodziewam się. A więc do prędkiego, radosnego zobaczenia.

Owiła szyję jego rękoma i jęła gorączkowo go całować.

— Do zobaczenia. Koniecznie do zobaczenia. Do prędkiego, radosnego zobaczenia.

Zetes, tkliwie ją uściskawszy, wyszedł. Kleopatra stała wciąż, przywarłszy rękoma do serca.

— Dzieci, dzieci! A gdzie wy jesteście?

V.

Księżę Fineusz zatrzymał się, zakłopotany.

— Gdzieżeś mi się podział, figlarzu? Wodził mię po całym lesie i nagle jakby pod ziemię się zapadł.

Ale niedźwiedzia widać nie było. Księżę krzyknął, ile miał tchu w piersiach, nikt się nie odezwał. Chwycił swój róg myśliwski i zagrał jasny hejnał wezwania, ale i dźwięki hejnału bez skutku rozplynęły się w letniem powietrzu.

Pokiwał głową.

— Dokąd, jednakże, zabrnąłem?

Miejscowość była najdziksza, czarne jodły, skały, mech; słychać szum wodospadu. Udał się w tym kierunku. Rzeczywiście, ze skały wali się

wodospad w bezdeń, z której jakgdyby unosi się mgła. Lecz obok stoi chata leśna.

— A, poznaję: tu mieszka leśnik mój. Odpocznę sobie u niego.

Zastukał; ktoś milcząc otworzył drzwi.

Lecz księcia jakgdyby coś odepchnęło od progu.

— Matko, co za zrządzenie!...

Czarna księżna uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Było to ponad siły moje. Teraz tu mieszkam.

Księżę wciąż patrzył na nią, oczom swym nie wierząc.

— Matko, jakże to? Czyżby pod nieobecność moja... Kleopatra... okazała ci brak szacunku?

— Nie jestem ja dziewczynką, aby palec kłaść między drzwi a ścianę. Ty z nią żyć masz, nie ja. Powiedziałam, że było to nad siły moje, i—koniec.

— Matko, a któż tobie tutaj usługiwać będzie?

— Wejdz, a zobaczysz.

Księżę wszedł i ujrzał w izbie Idaję. Ta natychmiast kornie przypadła mu do stóp.

— Wstań, Idajo. Nie mam ci nic do wybaczenia: przeciwnie, jestem wdzięczna tobie, żeś mię wtenczas ocaliła od Harpij. Mówię ci, wstań.

Wstała i natychmiast jęła się krzątać. W mgnieniu oka stół był nakryty, ukazała się wszelkiego rodzaju strawa, chleb, ser, wino. Księżę uśmierzył głód, po winie zaś rozpogodził się ostatecznie.

— Widzę, matko, że głodu tu nie cierpisz. Ale czy nie dokucza ci w tej guszy samotność?

— Wcale nie,— odrzekła księżna, uśmiechając

się zagadkowo. — Widzę wszystkich, kogo tylko chcę widzieć! I ciebie widziałam niedawno, i wiedziałam, że jesteś w pobliżu.

— Widziałas? W jaki sposób?

— Dzięki niej. O, to mądra głowa...

Pieszczotliwie spojrzała na Idaję. Ta podniosła swe oczy kolące na księcia, i nagle uczył on, że pod tem spojrzeniem pogodny jego nastrój pierzchnął zupełnie. Ogarnęła go silna tęsknota za domem.

— Jakże ty to sprawiasz? — spytał Idai.

— W pianie i w bryzgach wodospadu — odrzekła. — Wszak pada on w bezdeń, aż w samą głąb łona Matki-Ziemi, kędy unoszą się pierwotory wszechrzeczy. Trzeba tylko umieć je wywołać: my, polanice, wiele rzeczy umiemy.

Książę spojrział na nią nieufnie i z obawą.

— Widzę, jesteś czarnoksiężniczką. No, a czy możesz mi pokazać to, co zechcę ujrzeć?

— Mogę, rozkaż tylko.

Książę popił jeszcze wina, i teraz dopiero spostrzegł, jak mocne było i aromatyczne. Łyknął jeszcze i jeszcze, póki nie uczył przyjemnego zawrotu w głowie. Znow ogarnęła go tęskność za domem, ale już z innego powodu.

— Chodźmy prędzej! Do wodospadu!

Idaja wstała, zabrała z półki rozmaite sprzęty, dziwaczne z pozoru, na końcu zaś mały tygiel z żarzącymi się węglami i krzesiwo.

— Chodźmy.

Udali się do wodospadu; księżna Amaga wraz z nimi. Kiedyindziej książę byłby oczarowany ma-

jestatem widoku, jaki się przed nim odsłonił. Stro-
ma skała, porośnięta mchem i liszajami, najeżona była gajem wysokich, czarnych jodeł. Śród nich pędził szerokiem łożyskiem strumień, spadał na niższy złom, spływał pięciu strugami po pochyłym łożu i następnie, połączony, przez wrota kamienne spadał powtórnie, tym razem w niedosiężną dla oka głębinę. I stamtąd, z głębi, w modrawym półmroku, dobywała się wirująca mgła bryzgów i pyłu wodnego, w której rozgorączkowany wzrok księcia już teraz dostrzegał szereg obrazów bądź ponętnych, bądź strasznych.

— Prędzej! — rzekł do sprawczyni czarów, — wywołaj mi ją!

— JA, — spytała Idaja, bacznie patrząc na księcia swemi niedobremi oczyma. — Kogo?

— Moją najukochańszą. Wybacz, Idajo, rozumiem, że może to być dla ciebie niemiłe, lecz jeśli naprawdę szczerze pokajałaś się wobec mnie...

— Jest to dla mnie niemiłe, książę, ale nie z tego powodu, o którym ty myślisz. Ja nie sięgam po to, co mi się nie należy, i jeżeli dasz mi rozkaz stanowczy, to wolę twoją spełnić. Daj mi tylko rozkaz.

— A więc rozkazuję. Wywołaj mi księżnę Kleopatrze!

Idaja roznieciła ogień w tyglu, rzuciła weń traw różnych, które natychmiast czerwonym zajęły się płomieniem, i poczęła, bezdźwięcznie poruszając wargami, wymawiać zaklęcia, wiążące ciało i duszę. Książę sam uczył, że coś jakgdyby parło go ku owemu miejscu, że nie mógłby się oddalić

stać, choćby nawet tego zapragnął. Ukończywszy zaklęcia, Idaja wzniosła żarzewie nad przepaścią i odwróciła je. Natychmiast cała stanęła ona w świetle czerwonym.

Zrazu nie mógł dojrzeć niczego, prócz jednostajnej czerwonej mgły. Zwolna dopiero mgła porzuciła się miejscami zgęszczać, miejscami rozpryskać; zarysy czyniły się coraz wyraźniejsze; książę rozpoznał komnatę niewieścia swego dworu. W komnacie tej, plamy mgliste kołysały się, mieniły, falowały. Idaja w dalszym ciągu bezdźwięcznie poruszała wargami. Niektóre plamy zlewały się razem, gęstniały, tworzyły postać ludzką — książę rozpoznał swą żonę.

— Kleopatro, kochanie, spójrz na mnie!

Lecz księżna stała jakby w oniemiaeniu, patrząc pilnie przed siebie. Poczem podniosła ręce, jakgdyby błagając kogoś, kto stał przed nią.

— Co to? Na kogo ona patrzy?

Tam, przed nią, wciąż jeszcze mgiły się plamy czerwonego oparu. Idaja w dalszym ciągu wygłaszała swe nieme zaklęcia. Znów plamy jęły się zwierzać, nareszcie przybrały kształt smukłego młodziana w chitonie helleńskim i chlamidzie rycerskiej, zaodzianej przez ramię.

Kleopatra owiła szyję jego rękoma i poczęła gorączkowo go całować.

I młodzian tkliwie ją uściskał.

Tu książę wykrzyknął głośno, a raczej wydał ryk od nieznośnego bólu dusznego. Idaja

przerwała swe zamawiania, obraz powoli rozplynął się w kurzawie mgły, która też zwolna jęła przygasać.

— Ah, więc tak spędzasz czas mej nieobecności! Hellen! O, tak, oczywiście, jest to Hellen, tak jak i ty, ja zaś jestem marnym Scytą, barbarzyńcą. Nas nie raczycie poczytywać nawet za ludzi! Teraz rozumiem, dlaczego matce mojej sił nie stało, aby wytrwać. O, teraz zrozumiałem wszystko! Przebac mi, matko.. przebac mi... Idajo!..

I rozplakał się, jak dziecko.

Idaja położyła mu dłoń na ramieniu.

— Co zamýślasz uczynić, książę?

Książę wybuchnął wściekłym śmiechem.

— Co uczynić? Przypomnieć sobie, że jestem barbarzyńcą i Scytą. Tak, jestem barbarzyńcą, ale jestem księciem, i uragać się z siebie wam, Helenowie, nie pozwolę!

— Pamiętaj jedno: w jej jasnych włosach jest jeden włos złoty, ofiarowany jej przez Herę w dniu jej narodzin. We włosie tym tkwi moc czarodziejska. Pamiętaj o tem.

— Włosy, tak... włosy... rozumie się — marmotał książę, jakby nie rozumiejąc tego, co doń mówiła Idaja.

W pobliżu dał się słyszeć trzask, jakby ktoś łamał chrust.

— A, przyjacielu, przychodzisz w samą porę, — rzekła czarownica. Poczem, zwracając się do księcia:

— Jest to przewodnik. Idź za nim, poprowa-

dzi cię on do miejsca, gdzie zostawiłeś świtę i konia. Reszta — do ciebie należy.

Księżę w niemem posłuszeństwie skierował się w tę stronę, kędy rozlegał się trzask.

Idaja długo patrzyła za nim; gdy znikł, zaniosła się od śmiechu.

— Dzięki wam, Argonauci: od was, przepowiedała babka, grozi nam zagłada! Zobaczymy jeszcze; tymczasem daliście nam ratunek.

— Kto? — spytała księżna.

— Co ci do tego? — szorstko odparła Idaja. — Zapomniałam zupełnie, że ty jesteś tu jeszcze. No, chodźmy do domu.

VI.

Księżna Kleopatra wciąż jeszcze siedziała w swej komnacie niewieściej, przyciskając i tuląc do siebie swe dzieci. Serce jej ostry przeszywał niepokój. Wciąż miała jeszcze w uszach odgłos piosnki dziecięcej, wciąż przed oczyma jej stała postać ukochanej bogini z oczyma pełnymi łez.

— Ah, gdyby ojciec wrócił jaknajprędzej! Rozległ się tętent samotnego rumaka.

— To on, — radośnie zawołała. — Ale dlaczego powraca sam jeden, bez świty? Widocznie, niecierpliwiąc się, wyprzedził wszystkich, chcąc co prędzej uścisnąć... swe chłopięta.

Tętent stawał się coraz bliższy, głośniejszy. Księżna przeszła do głównej komnaty pałacu.

Koń zatrzymał się u wejścia, jeździec zeskoczył

zeń. Drzwi rozwarły się szeroko, księżę Fineusz ukazał się na progu.

— Fineusz! — radośnie krzyknęła Kleopatra i pobiegła, aby go witać. — Ale co tobie? Czemu jesteś taki blady?

Fineusz znowu wydał ryk, jak tam, u wodospadu; rzucił się na żonę, chwycił ją za włosy, przygiął do ziemi: błysnął miecz — i wspaniałe warkocz bezsilnie zwiśł na lewej ręce obląkańca.

Natychmiast wysokie sklepienie pałacu osiadło niżej i niżej; piękne malowidła ścian utonęły w szarych plamach; drzwi skurczyły się i zamieniły w niskie okno, w które wprawione było płótno, tłuszczem przesycone. Fineusz stał, dziko spozierając wokół siebie.

Kleopatra podniosła się — ostrzyżona.

— Co to znaczy Fineuszowi? Kto mię spotwarzył wobec ciebie?

Te słowa przywróciły Fineuszowi przytomność.

— Kto cię spotwarzył? — spytał z dzikim śmiechem: — oto, kto! — I ręką wskazał na dwoje swoich oczu. — Lecz póki widzą one blask słońca, Fineusz wierzyć im będzie więcej, niż zdradzieckiej pieszczocie helleńskiej. Precz!

I, chwyciwszy ją za rękę, wywiódł ją ze świetlicy, nie zwracając uwagi na płacz dzieci. Wkrótce potem wrócił, padł na posłanie, stojące pod ścianą, i — postradał świadomość.

Gdy ocknął się, był mętny dzień jesienny. U jego wezłowania siedziała księżna Amaga, nieco opodal stała przed krosnami Idaja i tkła; tkackie

jej czólenko, biegając wstecz i naprzód między niemi osnowy, brzęczało posępnie. Powietrze świetlicy przesycone było gryzącym odorem, który znał dobrze od lat dziecińczych.

— Matko, spałem długo?

Amaga badawczo spojrziała na niego.

— Tak, synu, bardzo długo. Już myśleliśmy, że nie ockniesz się więcej.

— My, powiadasz. Któż to są my? I powiedz, kim jest ta kobieta, tam, przed krosnami? Jak okropnie migoce igła jej czólenka!

— Igła, jak igła. Lecz jakże mogłeś nie poznać żony własnej?

— Żony? któż jest moją żoną?

— Idaja, córka księcia Tudala, swoja, nie obca.

Ty, pono, wszystko zapomniałeś.

— Idaja? Nie, pamiętam. Idaję pamiętam. Tylko tego, że jest żoną moją, nie pamiętam. Ale dlaczego jej igła tak błyska? Cała czerwieni się, jakby rozpalona. I dlaczego ciągle krew z niej broczy?

— To w oczach ci się mąci, synu. Lepiej zaśnij jeszcze; gdy się zbudzisz, będziesz zupełnie zdrow.

— Nie, matko, spać teraz długo nie będę. I tak spałem zbyt długo. Miałem sen, śnił mi się cudny sen... Miałem dzieci, prześliczne chłopięta... i żonę miałem... tylko nie tę...

Ostatnie słowa dodał szeptem, trwożnie spoglądając na Idaję.

— I dlaczego ona ciągle tka? Tak żałośnie

nuci jej czólenko, jakgdyby piosnkę zawodziło. I ciągle krew kapie z igły. Dobiegnie do końca naprawo—i kapnie. Patrz, jak rośnie kałuża krwi. Matko, powiedz jej, aby przestała!

Idaja z gniewem odrzuciła czólenko, które zwisło na nitce. Pieśń umilkła, lecz Fineusz jeszcze wyraźniej słyszał teraz: kap-kap-kap.

Umilkła pieśń żałoby, ustąpiła pieśni innej, pieśni gniewu i kary. A rozległa się ona nie w świetlicy, lecz ponad domem.

Co to, matko, słyszysz?

Coraz donośniej brzmiał szum, trzask, odgrom. Zwłaszcza odgrom straszliwy, groźny, przeplatany skowytami i wyciem. Fineusz zerwał się z posłania.

— A, wiem, matko: to nie był sen! To—ona, ona, królowa Wichur!

Szum zniżył się; słyhać było, jak trzeszczały krokwie dachu, rozrywane nawałnicą. Coraz niżej, coraz niżej. Oto runęła belka pułapu; szeroka fala białego światła wlała się wraz z kłębiącym się śniegiem do izby Fineusza.

Wichury czyniły dalej swą robotę, wrywając bale z powały i ścian.

— Co to?—powtórzył Fineusz, blednąc.

— Zapłata, — krzyknęła doń Idaja z szyderczym śmiechem. Żegnaj, Fineuszu, zobaczymy się rychło... Czy się zobaczymy, tego nie wiem, lecz ja z pewnością cię zobaczę. Żegnaj!

Rzekła i przepadła.

Wichury, wszystkie w białych oponach, szu-

kały po całym placu zburzonego domu. Pieśń gniewu zamieniła się w pieśń żalu.

— Niema jej! Niema naszej królowny, towarzyski Wichur!

Ale w pieśń ich runął głos, niby huk pioruna.

— Fineuszu, Fineuszu! Gdzie są moje wnuki?

Fineusz podniósł przerażone oczy. Poza śnieżną zasłoną dojrzał na rydwanie, obok Królowej Wichur, groźną postać jej małżonka, Króla Gór.

— Fineuszu, Fineuszu! Gdzie są twoi synowie, moje wnuki?

Fineusz opuścił wzrok ku ziemi.

— Ty, ojciec niegodny, wydałeś ich na łup najokropniejszej z Harpij, ona zaś, igłą tkacką przekłuwszy ich oczy jasne, wtrąciła ich w podziemia nad morzem, niedostępne dla moich Wichur!

Fineusz głucho jęczał.

— Fineuszu, Fineuszu! Gdzie żona twoja, a moja córka?

— Zdrajczyni! Ukaralem ją.

— Kto rzekł ci, że cię zdradziła?

— Oto, kto! Oto, kto!—wściekle wyrzucił Fineusz, wskazując na swe oczy.—I póki świadkowie ci widzą światłość dnia...

Król Gór, zstąpiwszy z rydwanu, stanął tuż nad nim, rzucając nań cień swemi skrzydłami.

— Póki ci świadkowie potwarczy widzą światłość dnia, córka moja ma pozostawać zdrajczynią, tak? A więc macie — i one, i ty!

Skinął skrzydłami—i czarna noc okoliła Fineusza.

— Harpje uprowadziły ją do swej jaskini,—

ciągnął Król Gór — i tam płacze ona nad dolą swoją własną, i nad twoją dolą, nikczemniku, kacie. Ale godzina zapłaty nadeszła. Wstań, stara,— krzyknął do Amagi, która u stóp jego leżała:— uprowadź syna do swego domu leśnego, nad jaskinią Harpij, niechaj tam odkupuje swoją i twoją zdrodnię. Ludzie miłosierni znieść mu będą jadło i wino, ale niewiele z wiela siły jego pokrzepi. Harpje rozdrapywać będą ich ofiary, resztki zaś smrolem swoim zakażą. A jednak głód zniewoli go sporywać to plugawe jadło, nieznośne nawet dla ciebie. Ty porzucisz go i nikt, prócz jego Harpij, nie usłuży lepcowi. I będzie tak męczył się aż do chwili...

Korna pieśń setek głosów dziewiczych przerwała jego prorocstwo.

— Chwała, chwała, chwała Królowej Niebios!

Dał znak Amadze, aby uprowadziła syna, spojrział ku górze. Na jego rydwanie, obok jego żony, stała druga kobieta, postawą wynioślejsza i bardziej królewska. Białe Wichury, wzniosłszy ręce jak do modlitwy, otoczyły kołem rydwanu, śpiewały chwałę bogini.

Bogini przycisnęła do siebie płaczącą królowę.

— Nie oddawaj się rozpacz, córko; sama dam ci błogosławieństwo na twój ślub; ale i ja wiedziałam, i ty wiedziałaś, że droga twoja pokryta będzie cierniami, że nienawiść i niewdzięczność będą odpowiedzią ludzi na twe dobrodziejstwa. Jednakże nie uważaj na zburzenie swego wielkiego dzieła; nie sądź, aby zwycięstwo Harpij, i wycichłych wrogów nieprzejejdanych, było długotrwałe.

Nastanie światło, nastanie radość, nastanie miłość;
 płomień Pallady w tym kraju dzikim płonąć bę-
 dzie mimo wszystko. I niechaj ci pociechą jedno
 słowo będzie w tej całej niedoli...

Król gór, wzniosłszy, jak do modłów, prawicę,
 z rozrzewnieniem patrzył na żonę, gdy ta ufnie
 zwracała oczy na boginię, uśmiechając się do niej
 skroś łyzy.

— Słowem tem — *Argonauci.*



65/191/2

SPIS RZECZY SERJI DRUGIEJ.

	str.
I. Pieśni słowicze	5
II. Pieczęć Persefony	45
III. Królowa Wichur. Część I. (Jaskinia Harpij)	103

WYCIĄG Z KATALOGU TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

- Abramowski E.** Dusza i ciało.
Album malarstwa polskiego. 50 barwnych reprodukcji wyd.
I. Lapina.
- Andersen.** Baśnie. Z ilustracjami E. Dulaca
Arcydzieła literatur obcych. W wyborze i układzie dla
użytku szkolnego pod redakcją A. Boleskiego zeszyt I-y
Homer. Iliada—Odyseja „ ”
- Askenazy S. Prof.** Napoleon a Polska
T. I Upadek Polski a Francja
— „ ” II Bonaparte a Legjony
— „ ” III
- Barrie.** Przygody Piotrusia Pana. Z ilustracjami A. Rackhama
Baudelaire Charles. Kwiaty grzechu. Przeł. Cz. Kozłowski
Baumfeld G. B. Klejnoty poezji staropolskiej
Bedier J. Dzieje Tristana i Izoldy odtworzone wedle daw-
nych legend i poematów. Przełożył Boy. Wyd. drugie
Berent W. Fachowiec. Powieść
Bölsche W. O pochodzeniu człowieka
Brzozowski S. Nim serce uciechło. Poezje
Brzozowski W. Dusza mówiąca. Poezje
Dante Alighieri. Vita Nuova (Nowe Życie) przełożył Artur
Górski
- Dąbrowska M.** Dzieje naszej Ojczyzny wyd. II uzupełnione
— O Zjednoczonej Polsce. Wyd. drugie rozszerzone
— Dzieci Ojczyzny
- Garski St.** System filozofji t. I. Zagadnienia wstępne
Grabiec J. Dzieje Polski Niepodległej
— Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego
— Dzieje Współczesne (1871—1918). cz. I
— „ „ „ „ cz. II
- Holewiński J.** „Budownictwo wiejskie”
Hryncewicz-Talko I. Prof. Człowiek na ziemiach naszych
Kaden J. Łuk. Powieść
Karpowicz St. Ideały i metoda wychowania społecznego
Kasprowicz J. Wybór poezji
— Księga ubogich
- Korczak J.** Bobo
— Jak kochać dziecko I. Dziecko w rodzinie
— „ „ „ II. Internat.—Kolonje letnie
— „ „ „ III. Dom Sierot
— Józki, Jaśki i Franki
— Mośki, Joski i Srule
— Sam na sam z Bogiem. Modlitwy tych, którzy
się nie modlą

Kraśiński Z. Poezje wybrane, w układzie St. Wyrzykowskiego
Kwiatkowski R. Chiakunin-izszu czyli ze stu poetów po
jednej pieśni

Lange A. Dywan Wschodni. Antologia poetów wschodnich
Lechoń Jan. Karmazynowy poemat
Leonardo da Vinci. Pisma wybrane. Wybór, układ, przekład
i wstęp Leopolda Staffa 2 t.

Leśmian B. Łąka
— Sad rozstajny. Poezje

Limanowski B. Dzieje Litwy
— Historia demokracji polskiej w epoce po-
rozbiorowej t. I, II.

Liryka francuska serja I i II. Przekład Br. Ostrowskiej
Lorentowicz Jan. Polska Pieśń Niepodległa. Zarys literacki
Louys Piotr. Pieśni Bilitis. Przeł. L. Staff
Markowska M. Przejdzim Wisłę przejdziem Wartę... Powieść
historyczna

Michał Anioł. Pisma. Przekład L. Staffa
Mickiewicz Ad. Pan Tadeusz. (album) z ilustracjami
E. M. Andriollego

Miriam. U Poetów. Przekłady
Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Mahā-Bhāraty.
Z sanskrytu przełożył A. Lange

Nalepiński T. Kazia. Powieść
Nalkowska Ryglar Z. Hrabia Emil. Powieść
Nietzsche Fr. Dzieła. Przełożyli: W. Berent, K. Drzewiecki,
L. Staff i St. Wyrzykowski

— Tom: I Tako rzecze Zaratustra
— " II Poza dobrem i złem
— " III Z genealogji moralności
— " IV Dytyramby Dionizyjskie
— " V Zmierzech Bożyszcz
— " VI Wiedza radosna
— " VII Jutrzenka
— " VIII Antychryst
— " IX Narodziny tragedji
— " X Ludzkie arcyłudzki
— " XI Wędrowiec i jego cień
— " XII Wola moey
— " XIII Niewczesne rozważania
— Ece homo (Suplement)

Norwid C. Czarne i białe kwiaty. Wybór prozy w układzie
R. Zrębowicza
— Pisma wybr. t. A. cz. I i II. Pisma wierszem. Dział I
— t. C. Pisma dramatyczne
— t. E. Pisma prozą. Dział pierwszy legendy i nowe
— Wybór poezji w układzie Zenona Przesmyckiego
(Miriana.)
Novalis. Pisma t. I. Henryk Offterdingen

Ostrowska Br. Chusty ofiarne. Poezje
Panteon. A. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa
polskiego

— J. Słowacki. Genезis z Ducha
— Z. Kraśiński. Modlitwy
— Sofiski greccy. Wybór i przekład L. Staffa
— Epikur. Myśli
— Kwiatki św. Franciszka z Asyżu wybrane przekł.
L. Staffa
— Salomon. Pieśń nad pieśniami
— Leonardo da Vinci. O malarstwie przeł. L. Staff
— Heraklit. Myśli
— Spinoza. Myśli
— Nietzsche. Żart, chytróść i zemsta
— Epiklet. Encheiridion
— Demokryt. Myśli
— Petronjusz. Uczta
— Marek Aureljusz. Myśli
— Pascal. Modlitwy i rozmyślenia
— Norwid C. Milczenie

Papini J. Dzieje Chrystusa przełożył W. Rzymowski
— Pamiętniki Pana Boga " "
— Tragedje powszednie " "

Plutarch Polski. Hugo Kollataj przez B. Limanowskiego
— Tadeusz Kościuszko " "
— Walerjan Łukasiński " "
— Stanisław Staszic " "
— Romuald Traugutt " "

Poe Edgar Allan. Arabeski t. I i II

Poincaré H. Nauka i hipoteza
— Nauka i metoda
— Wartość nauki

Rabindranath Tagore. Owocobranie. Przeł. L. Staff

Renan E. Żywot Jezusa

Rolland R. Beethoven przeł. M. Zabojecka
— Piotr i Łucja. Idylla tragiczna przeł. M. Zabo-
jecka i H. Bezmaki

Rzymowski W. Polskie-Arcypolskie

Schlaf J. Wiosna. Przeł. i wstęp. zaopatrzył St. Przyby-
szewski

Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z po-
dróży

Sieroszewski W. Beniowski. Powieść hist.
— Ocean. Powieść hist.

— Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży
Słowacki J. Pisma mistyczne w wyb., ukł. i oprac. St. Wyrzy-
kowskiego
— Utwory liryczne. Wybór i układ St. Wyrzy-
kowskiego

- Staff L.** Fletnia chińska
 — Oczy otchłani
 — Ogród pieaszczot
 — Pieśń o skowronku
 — Sady
 — Ścieżki polne
 — Wino miłości
- Strug A.** Chimera. Powieść
 — Dzieje jednego pocisku. Powieść
- Szczęśny Al.** To co się stało. Poezje
- Szpotanski St.** Adam Mickiewicz i jego epoka t. I. Racyo-
 nalizm i romantyzm
 t. II. Towianizm
- Towiański A.** Pisma wybrane. 2 tomy
- Trojanowski W.** Malarstwo włoskie z 40 planszami
- Trzebiński M.** Stara Warszawa. Album
- Tuwim J.** Czyhanie na Boga
 — Sokrates tańczący
- Wasylewski St.** Sztambuch. Skarbnica romantyzmu
- Wierzyński K.** Wiosna i wino. Poezje
- Zabojecka M.** Powieść o duszy polskiej
- Zieliński T.** Religja starożytniej Grecji
- Złota legenda błogosławionego Jakóba de Voragine.** Przeło-
 żył i wstępem opatrzył L. Staff. Poczet pierwszy
- Żeromski S.** Biała rękawiczka
 — Caritas. Powieść współczesna
 — Dla młodzieży. Książka pierwsza
 — „Duma o hetmanie ” druga
 — Duma o hetmanie
 — Dzieje Grzechu
 — Echa leśne
 — Inter Arma
 — Nawracanie Judasza
 — Organizacja inteligencji zawodowej
 — Początek świata pracy
 — Popioły wyd. nowe 3 tomy
 — Powieść o Udałym Walgierzu
 — Projekt Akademii Literatury Polskiej
 — Rozdziobią nas kruki, wrony...
 — Sen o szpadzie i sen o chlebie
 — Słowo o Bandosie
 — Sułkowski. Tragedja
 — Syzyfowe prace
 — Uroda życia 2 tomy
 — Wiatr od morza
 — Wierna rzeka. Klechda wyd. nowe
 — Wisła
 — Wszystko i nic. „Popiołów—sprawa druga“
 — Zamieć
- Żywot** chłopca polskiego na początku 19-go stulecia. Do druk-
 podał M. Handelsman.